

RAFAŁ
JUNOSZA PIOTROWSKI



DZIADEK

Ile praw złamiesz,
by ocalić najdroższe życie?

NOVAE RES

PROLOG

Czy można być zakochanym w sześciolatce?...

Nie kochać – czy też nie tylko kochać – ale być zakochanym? Nie będąc osobnikiem nienormalnym; lub mającym niezdrowe upodobania i pragnąc z nią jak najczęściej przebywać, słuchać jej opowieści i samemu wymyślać dla niej najróżniejsze historie, ciesząc się, gdy słucha z rozdziawionymi usteczkami i oczętami błyszczącymi z ekscytacji bajędami, które są przed nią snute? Utulać do snu, cieszyć się każdym jej widokiem, podziwiać jej rysunki, sukienki i uczesania?

Można.

Wystarczy być jej dziadkiem.

Mówi się, że to ojcowie do szaleństwa kochają swoje córki. I z pewnością tak jest, w milionach, jeśli nie w miliardach przypadków. Tylko że motywacja ich ojców to często zazdrość; o to, że jakiś inny samiec wtargnie do domostwa i pozbawi przewodnika stada jednej z samic, że go zuboży, okradnie – innymi słowy, poniży, sprawi, że straci na wartości, on i jego domostwo. Dlatego ojcowie, kochając swoje córki, nie mają czasu się w nich zakochiwać, gdyż muszą dbać o całość rodziny, całość swojego stanu posiadania, a każde jego naruszenie jest siłą rzeczy stratą.

Dziadkowie to zupełnie inna kategoria. Przede wszystkim mają czas, mnóstwo czasu. Wtedy, w miarę możliwości, o ile przedwcześnie nie spróchnieją, rozwijają swoje hobby i realizują się w rzeczach, na które przedtem nie było sił, ochoty, czy choćby wolnego miejsca w kalendarzu zajęć.

Dziadek wreszcie może w tych jakże licznych wolnych chwilach oddawać się marzeniom, a zakochany we wnuczce dziadek może jej zbudować domek na

drzewie znacznie szybciej i staranniej niż najlepszy ojciec. Może siedzieć z nią przy kominku, pokazywać jej książki z obrazami egzotycznych zwierząt i jeszcze bardziej egzotycznych miejsc, zaplanować i zrealizować wycieczkę kajakową nad położone w porażającej swej ogromem odległości trzech kilometrów jezioro, gdzie będą podglądać gody kormoranów, pod koniec lata obserwować odlatujące bociany, a wieczorami wsłuchiwać się w rechot żab. Potem utuli swoją małą ukochaną do snu, usiądzie przy ognisku, zapali fajkę i zamyśli się, planując kolejne szalone wypadki, albo dojdzie do wniosku, że w zasadzie można by rozpocząć naukę podstaw gry w szachy. I dziadek dotrzyma słowa pewniej niż ojciec, któremu przeważnie coś wypadnie, bo dupek będący nieszczęśliwym przypadkiem jego przełożonym wymyśli i zarządzi burzę mózgową akurat na tę samą godzinę, gdy córeczka gra główną rolę w szkolnym przedstawieniu. A córeczka będzie ze sceny strzyc oczami w poszukiwaniu ojca, którego nie ma na widowni, i napotka na lekko zwilgotniałe spojrzenie dziadka, który będzie razem z nią powtarzał ruchami ust przeciwiczone wcześniej kwestie sztuki.

Bo dziadek miał na to wszystko czas, którego zabrakło ojcu, nie z jego wszakże winy. Bo ten pierwszy ma komfort widywania się z wnuczką akurat z taką częstotliwością, by obydwójgu było wygodnie i by zdążyli się za sobą stęsknić. Jak zakochani, którzy nie muszą dzielić metrażu w małżeństwie, nie ślęczą nad rachunkami i nie wykonują wszystkich tych rzeczy, przez które zakochanie ulatnia się bezpowrotnie. I jeśli mają obydwójce szczęście i wielkie serca, to zakochanie przechodzi w dojrzałą miłość. Tylko że takich szczęściarzy jest na świecie ledwie garstka; pół biedy, gdy taki związek kończy się polubownym rozstaniem.

A dziadek ma ten luksus, że może być bezkarnie i niewinnie zakochany w swojej wnuczce. I bywa, że z wzajemnością – oczywiście w ramach cudownie ograniczonego dziecięcego zbioru pojęć.

Jan Skórzewski był takim szczęściarzem – kochanym, kochającym i zakochanym w sześciolatek Emilce dziadkiem. Kochającym i zakochanym do tego stopnia, że każdego, który chciałby jego wnusi zrobić krzywdę, po prostu by zabił.

Co więcej, Jan Skórzewski umiał całkiem sprawnie zabijać.

DZIŚ

– Ale to już niedaleko, prawda, tatusiu? – Emilka zakręciła się niecierpliwie na tylnej kanapie kupionego przez rodziców na raty nowiutkiego Opla Astry. – Bo ostatnio było bliżej... – zamarudziła.

– Nie przeszkadzaj tacie, jak prowadzi – Iwona Skórzewska odwróciła się, obrzuciła córeczkę szybkim spojrzeniem i poprawiła jej włosy. – O widzisz, wstążka ci się poluzowała; dociągniemy na postoju. Nie było bliżej, tylko był mniejszy ruch, i dlatego byliśmy wcześniej o pół godziny.

– A, teraz pamiętam, dziadek mi pokazywał – zaszczębiotała mała. – Mówił, że wyjechaliśmy o czwartej... nie, dziesięć po czwartej, i zajechaliśmy na... hmmm... piętnaście po piątej, chyba. Ta duża wskazówka była na trójce. Dalej nie rozumiem, dlaczego na trójce oznacza piętnaście, ale dziadek obiecał, że mnie nauczy zegarka, wiesz, mamusiu?

– Wiem, skarbie – uśmiechnęła się pani Skórzewska i pogładziła ją po główce, wcale nie wiedząc. – To nic trudnego, zobaczysz. Sama nauczyłam się nawet nie pamiętam kiedy.

– To ty się też nie znałaś na zegarku? – Emilka zrobiła wielkie oczy, zdziwiona, że mama kiedyś czegoś nie umiała. – Też, oczywiście. Nie wiem, czy uwierzysz, ale byłam kiedyś małą dziewczynką, jak ty teraz.

Mała umilkła, przetrawiając te nowiny. Pani Iwona odwróciła się do męża i rzuciła okiem na deskę rozdzielczą.

– Może byśmy zatankowali? Rezerwa się już świeci.

Werner Skórzewski podążył za spojrzeniem żony.

– E tam, dopiero mruga. W Wojnowie jest cepeen, to znaczy ten... eee, Statoil, dobre paliwo mają. Ciągle jeszcze się nie mogę przyzwyczaić do tych nowych nazw.

– Ale droższe.

– Raptem o trzysta czy pięćset złotych na litrze, nie stać nas? Paliwo tanie jak woda. Poza tym niespecjalnie ufam CPN, stare instalacje, stara technologia... Na Statoilu staniemy, może coś przekąsimy przy okazji; zgłódniałem.

– A ja nie! – obruszyła się Emilka. – Muszę trzymać miejsce w brzuszku, bo dziadek robi dziś te pyszne kulki mięsne, mniam! – mlasnęła.

– Klopsiki norweskie – sprostowała jej mama. – Rzeczywiście smaczne bardzo. Ale codziennie nie mogłabym jeść, strasznie zapychają.

– A ja bym mogła! I jeszcze te ryby z cytrynowym sosem... te, łosie. Eee, łosie, znaczy. Dziadek robi najlepsze na świecie. I sam je potrafi złowić! Tylko w Polsce nie ma...

– Są, ale w morzu, w Bałtyku – wtrącił się Werner. – Do tego trzeba mieć kuter.

– Dziadek z kutra też umie łowić! – Emilka promieniowała, jakby sama była szyprem.

– Dziadek i dziadek... – westchnął jej ojciec.

Jan spojrział na zegarek. Piętnaście po piątej. Przy małym ruchu na drogach jego rodzina powinna już być niedaleko. Trochę żałował, że nie stać ich było na telefony komórkowe, ale to piekielnie drogie urządzenia. Pocieszał się myślą, że w miarę jak społeczeństwo się wzbogaci, takie telefony będą bardziej rozpowszechnione. Może nawet tańsze; na przykład walkman też kosztował na początku małą fortunę, a i tak firma Sony sprzedawała je poniżej kosztów. Teraz, jak cię nie stać na walkmana, to tak, jakby nie było cię stać na spodnie. I komputery też zaczęły tanieć, odkąd Polacy zaczęli masowo je sprowadzać z Azji. Tak, wiele rzeczy się pozmieniało po 1989, choć minęło dopiero kilka lat; a wydawało się, jakby jeszcze wczoraj Polacy musieli stać godzinami w kolejkach po najbardziej podstawowe artykuły, a paszporty nie były własnością obywatela, tylko MSW, i spoczywały zamknięte na klucz w milicyjnych sejfach. W końcu to dzięki przełomowi z 89 Jan mógł swobodnie osiedlić się w Polsce i złożyć podanie o polskie obywatelstwo, przysługujące mu jako urodzonemu w Polsce, na terenie II RP. Swego czasu uciekinierowi za Żelazną Kurtynę, skazanemu za szpiegostwo zaocznie na śmierć, którą to karę zamieniono mu, również zaocznie, w 1989 na karę 25 lat pozbawienia wolności. Późniejszy dekret prezydencki ułaskawił w końcu dawnego zdrajcę. W jego przypadku prowadziło to do konstatacji, że wymiar sprawiedliwości PRL nie miał nic lepszego do roboty niż zajmowanie się bądź co bądź fikcyjnymi, bo czysto teoretycznymi sprawami obywateli, którzy do odpowiedzialności nie mogli żadną miarą zostać faktycznie pociągnięci z przyczyn zasadniczych: byli fizycznie niedostępni.

Dziadek Emilki i tak miał szczęście; gdyby ktoś zadał sobie trud odpowiednio głębokiego przeszukania archiwów niemieckich i norweskich,

posiadając ku temu odpowiednie środki finansowe, zasoby czasu i motywację, odkryłby, że Jan Skórzewski urodził się pod całkiem innym imieniem i nazwiskiem w miejscu odległym o setki kilometrów od zadeklarowanego w jego obecnym dowodzie osobistym, funkcjonował przez lata w Norwegii jako ktoś zupełnie inny; i pojawiał się na terenie kilkunastu krajów jako posiadacz przynajmniej tuzina paszportów- wystawionych przez przynajmniej pięć różnych państw, choć drukowanych przeważnie w norweskiej wytwórni papierów wartościowych w Oslo. Niekoniecznie za wiedzą prezesa tej skądinąd szacownej instytucji, acz za pełną wiedzą odpowiedzialnej za tego typu działania komórki wywiadu. Sam fakt posługiwania się w przeszłości przez obywatela legitymującego się obecnie całkowicie legalnym paszportem Rzeczypospolitej Polskiej, wydanym na nazwisko Skórzewski, tyloma różnymi dokumentami powinien spowodować co najmniej lekkie uniesienie brwi u obecnego ministra koordynatora służb specjalnych. Sam minister koordynator był rozgrywany przez służby zewnętrzne, o czym nie miał najmniejszego pojęcia, a takie pionki jak dziadek Emilki, domniemany eks-szpieg wrażego do niedawna Zachodu, nie leżały w kręgu zainteresowań wspomnianego pana. Głównie dlatego, że miał on na głowie mnóstwo innych spraw, podrzucanych mu zresztą przez osoby, które miały interes w tym, by mu owe sprawy podrzucać we właściwie dobranych ilościach i o właściwej tematyce. Poza tym nie miał ku temu odpowiednich środków finansowych, zasobów czasu i motywacji. Ergo: obywatel polski, Jan Skórzewski, był w tej sferze bezpieczny. Wiedział o tym i dlatego niczym nie zawracał sobie głowy.

Pięta dwadzieścia osiem.

Jan zakończył oporządkanie uli, na co postanowił przeznaczyć lwią część dzisiejszego dnia, z ulgą ściągnął z siebie pszczelarski kombinezon, i zdecydował, że czas doglądać dochodzących w brytfannie w piekarniku klopsików, i rzucić okiem na drogę. W drodze do domku nabił fajkę, przypalił tytoń w główce i z rozkoszą zaciągnął się aromatyczną mieszanką Amphory, miodu i suszonych owoców, którą sam z pieczołowitością i znanstwem mieszał. Oczywiście nie dbał o zalecenia koneserów zakazujących zaciągania się fajczanym dymem; jego mieszanka była po prostu na to za dobra. Wychodził z założenia, że to byłoby jak popijanie wina i jego wypluwanie, a do bycia kiperem wszak nie aspirował.

Klopsiki były prawie gotowe; przegarnął je nieco drewnianą szpatułką, by się nie przypaliły. Pykając z fajeczki, wyszedł z domku, podszedł do szosy i wyężył wzrok, spoglądając w stronę trasy warszawskiej. Oho, chyba jadą!...

Szampanowozłoty opel państwa Skórzewskich pokonywał właśnie ostatni kilometr drogi do „rancza” pana Jana. Emilka radośnie podskakiwała na siedzeniu, rodzice popatrywali z czułością pomieszaną z rozbawieniem na latorośl.

– O, jest już domek!... I sad, i pasieka!... – Emilka była wniebowzięta.

– Jest, jest – roześmiał się jej ojciec. – Skoro stał tam dwa tygodnie temu, to i dziś powinien stać...

– I Hajfika też widzę, aha!... – córeczka mówiła o piesku dziadka, bardzo inteligentnym kundelku–znajdzie, przypominającemu nieco border-collie, którego Werner, jej tata, nazwał w przyпіływie humoru: „High-Fidelity Dog”, czyli „psem o wysokiej wierności”, w skrócie Hi-Fi, a w praktyce Hajfik, Hajfiś, Hajficzek, i w jakikolwiek inny sposób, który akurat przyszedł nazywającemu do

głowy. Albo bądźmy szczerzy – do blond, i zaskakująco inteligentnej główki Emilii Skórzewskiej, lat sześć z kawałkiem.

Jan pospieszył do bramy, by ją otworzyć; Hajfik przedstawiał sobą uosobienie psiego szczęścia, szczekając z animuszem i machając zapalczywie ogonem, a właściwie całym sobą.

– Już, już... zaraz... czekaj, ty psisko utrapione... – śmiał się dziadek, ciągnąc za skrzydło bramy. – Wjeżdżajcie, czym chata bogata!...

Samochód zajechał na trawnik; Emilka jako pierwsza wystrzeliła z auta i zaczęła czochoać psiaka, który, rzuciwszy się na nią, oczywiście nie omieszkął dokładnie oblizać jej noska z przyległościami, popiskując z radości. Drugi pisk, rywalizujący całkiem skutecznie z psim co do donośności, wydała ze siebie dziewczynka.

– Dziadek!!!... – podbiegła do Jana, który przykucnął, a mała skoczyła nań jak żbik i ucapiła go za szyję, wtulając się w niego i dając się drapać wąsami, które ten specjalnie zapuścił dla swojej małej księżniczki, i oddając na oślep pocałunki.

Nareszcie powitania dobiegły końca, pan Jan uściskał syna, cmoknął w policzek Iwonę, i poszedł pomóc przy bagażach.

– No, kochani, klopsiki już dochodzą. Komu wola, zapraszam na posiłek. Wernerze, pomożesz mi ustawić stół?... Czego się napijecie? Emilka pewnie kwasu chlebowego... Jest zimniutki, taki jak lubisz. Iwonko?

– A wie tata, że ja też chętnie kwasu. W sam raz na tę pogodę. Werner ze znaczącym, łobuzerskim spojrzeniem wręczył ojcu kluczyki do auta.

– Aha. Kluczyki wędrują na haczyk, czyli piwo – ojciec domyślnie mrugnął okiem. – Jasne, czy porterek?

– A tu cię, tato, zaskoczę – syn otworzył zamek błyskawiczny podręcznej lodówki. – Kolega przywiózł z Dusseldorfu Altbier, coś w stylu angielskiego *ale*. Pychota! Udało mi się ocalić sześciopak, koniecznie musisz spróbować.

– Jak mówisz, że dobre, to musi być dobre. Chętnie. No, siadać, kochani, klopsiki zaraz wjeżdżają na stół!...

Klopsiki norweskie pana Jana zostały zgodnie i z wielkim smakiem spałaszowane przez wszystkich członków rodziny, i równie zgodnie skomplementowane. Choć po prawdzie komplementy Emilki wydawały się najzarliwsze, a jej komentarze w stylu „najprzepyszniutenieczkie” wywołały prawdziwą wesołość, zaś jej mama stwierdziła, że takie słowo z pewnością zasługuje na dopisanie do oficjalnego słownika języka polskiego. Emilka może nie do końca rozumiała doniosłość takiego stwierdzenia, ale bardzo ją ono ucieszyło; wprost promieniała. Dziadek naturalnie też promieniał.

Werner dyskretnie popuścił pasa.

– Ech... chciałoby się więcej, ale się nie zmieści. – zaśmiał się. – Ale mały digestif nie zawadzi. Pójdę po piwo. Tobie do kufla, tato?

– Jak zawsze, poproszę – skinął głową Jan.

– Dziadziu, mogę się pobawić z Hajficzkiem? – zapytała Emilka. – Mogę wziąć jego piłeczkę?

– Weź, oczywiście; powinna być tam, gdzie zwykle. Tylko nie zbliżaj się zbyt do uli.

– Nie będę, obiecuję! – dziewczynka zsunęła się z krzesła i popędziła do domu.

– Żywe srebro – westchnęła pani Iwona. – Ciska poobiednia to zdecydowanie wynalazek nie dla niej – uśmiechnęła się. – Ale za to ja sobie chwilkę poleżakuję i poczytam. Tylko mi się tutaj nie zanietrzeźwić, panowie!... – pogroziła im żartobliwie palcem. Mąż przesłał jej w powietrzu buziaka.

Panowie zostali sami z düsseldorfskim piwem. Jan skosztował, mlasnął. Popatrzył z uznaniem na płyn koloru mocnej herbaty.

– Świetne! – zamruczał. – Faktycznie, gdyby nie gaz, to wypisz, wymaluj *ale* albo *bitter*. Przypomina też trochę irlandzkie Kilkenny... – pociągnął drugi łyk. – Na pewno tylko sześciopak przywiozłeś?...

Syn zaśmiał się porozumiewawczo. – Tak po prawdzie... to dwa sześciopaki, tato.

– Moja krew!... Dobrze, zostanie coś na jutro. No nic, opowiadaj, co tam u was. W pracy dalej tak was gonią?...

W międzyczasie pani Iwona spoczywała na leżaku w rozkoszonym cieniu starej lipy i zagłębiała się z narastającym z każdą stroną zachwytem w najnowszej powieści autorstwa objawienia polskiej fantastyki, Andrzeja Sapkowskiego, na początku prawie zmuszona do lektury przez męża. Jak większość kobiet nie przepadała za fantastyką, lecz wkrótce okazało się, że po prostu nie miała jeszcze w ręku naprawdę dobrej lektury z tego, nieco pogardzanego przez krytyków, gatunku. Do niedawna wydawało się jej, że ta kategoria ma do zaoferowania albo walki robotów, czy wojny z obcymi, albo bajki dla dużych chłopców w przykrótkich spodenkach, o smokach i krasnoludach. Nie bardzo jej się mieściło w głowie, by czymś takim można by się fascynować i po prawdzie trochę ją ten męski infantylizm śmieszył, a trochę drażnił, gdyż – jej zdaniem – świadczył

o niedojrzałości fanów. Tymczasem autor ją całkowicie zaskoczył i bez reszty zauroczył: niespodziewaną dojrzałością i złożonością fabuły, wspaniałym poczuciem humoru, a chyba najbardziej onomastyką (skąd on bierze te wszystkie nazwiska i nazwy miejsc?). Zaczęła od opowiadań, przy czym nie bez znaczenia był fakt, że można było je w dowolnym momencie odłożyć, gdyby okazały się nie pokrywać z jej gustem literackim. Przekonał ją argument męża, który stwierdził, że nie może mówić, że czegoś nie lubi, skoro nigdy tego nie spróbowała. I Sapkowski zawładnął jej wyobraźnią bez reszty; jak można mówić, że nie ma smoków i czarodziejek, skoro są? I co z tego, że tylko w książce? W tym momencie była trochę za połową pierwszego tomu sagi o wiedźminie i już żałowała, że na drugi tom przyjdzie jej czekać około roku. Z wypiekami na twarzy przewróciła kolejną stronę.

Do leżaka podeszła Emilka; wyglądała coś niewyraźnie.

– Mamusiu... Brzuszek mnie boli – poskarżyła się.

– Ojej – mama odłożyła książkę. – A może się położysz na chwilkę?

Widzisz, mówiłam ci, że niezdrowo jest od razu po jedzeniu szaleć. Pewnie biegałaś z Hajficzkiem?

Dziewczynka kiwnęła główką.

– Leżałam trochę, na trawie. Ale nie przeszło – zrobiła smutną minkę.

– Hm, to może pójdziesz „na tron” do toalety? A my poszukamy dla ciebie jakiegoś lekarstwa. Albo dziadek zaparzy ci ziółek. Chodźmy. – Pani Iwona wstała, wzięła małą za rączkę i poszły razem do domku.

Jan naturalnie przejął się stanem swojej ukochanej wnusi, pospieszył do kuchni i zaczął grzebać po szafkach w poszukiwaniu rumianku; znalazł mieszankę

rumianku i mięty pieprzowej do zaparzania naparu, po czym niezwłocznie przystąpił do jego sporządzania. Jego syn dostał polecenie przeszukania apteczki, gdzie powinien być „środek przeciwbólowy dla dzieci”, a Emilka zasiadła „na tronie”.

Kryzys został zażegnany, domowa kuracja postawiła małą na nogi, ale w środku nocy dostała mocniejszych bólów; rodzina chciała ją wieźć na ostry dyżur do szpitala, ale dziewczynka zaczęła histeryzować. Zamknęła się w toalecie, upierając się, że „sama wszystko wykupka”. Przesiedziała tam prawie pół godziny, wyszła z minką co prawda trochę niewyraźną, ale humor miała już lepszy i zapewniała, że czuje się naprawdę dobrze, czemu rodzina – chcąc nie chcąc – dała wiarę, i postanowiono poczekać do rana. Jan wymógł na niej tylko obietnicę, że jeśli podobna sytuacja powtórzy się jutro, to muszą pojechać na badania. Przekonał ją, że nie jadą na żadną operację ani na pogotowie, tylko po to, żeby pan doktor obejrzał jej brzusek i zdecydował, czy nie przepisać jakiegoś skuteczniejszego lekarstwa. Emilka wypiła jeszcze jedną porcję ziółek, tym razem z melisą i wkrótce zasnęła, podobnie jak cała reszta.

Następnego dnia śniadanie, choć lekkie, zwróciła. Tym razem już nie oponowała, gdy dziadek nieznośnym sprzeciwu tonem zarządził powrót do Warszawy; ból brzucha, choć lżejszy, pojawiał się i znikał w kilkunastominutowych odstępach. Zdecydowano o zawiezieniu dziewczynki do Centrum Zdrowia Dziecka.

Trasa była dość zatłoczona mimo stosunkowo wczesnej pory; stare, wysłużone polskie drogi od kilku lat przeżywały prawdziwą plagę zajeżdżających je nowych-starych samochodów, odkąd Polacy hurmem rzucili się kupować

używane samochody z Niemiec, a nawet z Belgii, Francji i Holandii. Ci, którzy mieli coś tam odłożone na dolarowych kontach, czy w przysłowiowej skarpecie, przesiadali się jak najszybciej ze starych maluchów, fiatów 125p czy Polonezów do 10-letnich i starszych volkswagenów, opeli, czy renaultów; nieco bogatsi szpanowali „japończykami” albo mercedesami czy audi. Ojciec Emilki starał się jechać jak najszybciej, niejednokrotnie wyprzedzając pojazdy na granicy ryzyka, narażając się, poza ewentualną kolizją, na niewątpliwie słuszny ochrzan ze strony małżonki. Wreszcie, po ujechaniu dwudziestu kilku kilometrów, zamachano na nich lizakiem. Werner zaklął w bezsilnej złości, zaś Iwona momentalnie wysiadła z wozu i rozpoczęła batalię, której stawką było przekonanie policjantów, że rodzina działa w stanie wyższej konieczności. Batalia zakończyła się sukcesem, który zaskoczył wszystkich – może z wyjątkiem pani Iwony, która powzięła taki plan już w momencie ich zatrzymania – uprzejmi policjanci zgodzili się eskortować Skórzewskich na sygnale pod sam szpital. Czterdziestominutową trasę przebyto w minut osiemnaście; policja na sygnale, a eskortowany szampanowózłoty opel na światłach awaryjnych. Stróżom prawa gorąco podziękowano, a już kilkanaście minut później Emilka znalazła się na kozetce pani doktor Marii Szczepanik, pediatry.

Pani doktor okazała się być osobą nie tylko kompetentną, ale i szalenie miłą. Wykonała badanie palpacyjne jamy brzusznej, zadała kilka pytań, pożartowała, obdarowała dziewczynkę tabletką i oznajmiła, że najprawdopodobniej trzeba będzie wykonać kilka badań, o których zdecyduje gastrolog; może rentgen, może USG, a może rezonans magnetyczny, a możliwe że wszystkie.

– Z tym, że rezonansu u nas nie robimy; trzeba będzie podjechać na radiologię w Szpitalu Kolejowym – zastrzegła – ale jakąś wolna karetka się u nas znajdzie. Nic się nie bój, Emilko – połaskotała ją po brzuszku, widząc, że ta trochę przybladła. – Karetka to tylko dlatego, że tatuś nie przejedzie tak szybko przez miasto. A karetki mamy naprawdę superowe, amerykańskie. Nie każdy może się ot tak przejechać takim czymś. – uśmiechnęła się. – No nic – pani doktor wstała – zostaniesz u nas trochę; trzeba poczekać na pana gastrologa, który lepiej doradzi, co robić dalej. A potem cię zbadamy, trzeba będzie poczekać na wyniki, pewnie do jutra. Toteż tę noc spędzisz prawie na pewno u nas. Mamy dużo zabawek, dużo innych dzieci, książeczki... a rodzice i dziadek będą mogli z tobą też zostać. Choć tylko do dwudziestej pierwszej. Będzie dobrze, jesteś pod dobrą opieką.

– A jaka jest prawda, pani doktor? – zapytał Werner, gdy Iwona poszła odprowadzić Emilkę na salę i pomóc jej się przebrać w szpitalną piżamę. – Jest pani w stanie zdiagnozować coś bliżej?

– Nie jestem. – pani Maria pokręciła głową. – Jestem tylko pediatrą, lekarzem pierwszego kontaktu. Może to być zwykłe zatrucie, ale i coś poważniejszego; oczywiście nie ma się co martwić na zapas. Rzecz w tym, że takie objawy mogą wskazywać co najmniej na kilkanaście różnych schorzeń. Stąd potrzeba specjalistycznych badań. Żołądek jest jeden, ale sprawy jelitowe są znacznie bardziej złożone, no i nie wszystkie narządy są unerwione. Jak już państwo ustalicie dyżury przy małej, to proszę mi to jeszcze zgłosić, dobrze? To jej pierwszy pobyt w szpitalu?

Ojciec i syn zgodnie kiwnęli głowami.

– No właśnie. Z pewnością jest trochę zestresowana, toteż pewnie przynajmniej jedno z państwa zostanie tu do wieczora. A jutro nowy dzień, badania... I zobaczymy, co dalej. Na razie spróbujemy diety lekkostrawnej i dostanie analgetyki – to znaczy środki przeciwbólowe – i leki przeciwnadciężenne. Jak będzie zwracać posiłki, to trzeba będzie niestety przejść na kroplówkę. Dobrze... przepraszam, ale mam jeszcze pacjentów...

– Oczywiście, pani doktor. Bardzo dziękujemy. – mężczyźni wstali, pożegnali się i wyszli z gabinetu. Usiedli na chwilę na korytarzu na krzeselkach dla oczekujących i gości.

– I co teraz? – zagał Werner – Cholera, martwię się...

– Myślisz, że ja nie? Ale miała rację ta lekarka – na zapas nie warto. Po prostu będziemy reagować w miarę rozwoju sytuacji...

Jan urwał. Boczny, poprzeczny w stosunku do głównego korytarzem dwoje sanitariuszy pchało łóżko na miarowo poskrzypujących kółkach. Na łóżku widniał przykryty prześcieradłem kształt, którego wymiary sugerowały, że musiał być on kształtem dziecięcego ciała. A fakt, że był przykryty, mógł oznaczać tylko jedno. Czoło Jana przecięła głęboka bruzda; jego syn ukrył twarz w dłoniach.

Czasem trzeba tak się namęczyć, by kogoś zabić. A czasem śmierć przychodzi w momencie, pomyślał. Choć nie – i tu, i tam to taki sam moment, który właściwie nie trwa w ogóle. Jakie to życie kruche, przeszło mu przez głowę, i banalność tej myśli zirytowała go nieco. Ale czasami o być albo nie być decydują minuty... Takie właśnie minuty go raz uratowały, gdy był dzieckiem. I nie był to raz jedyny.

Jan pogrążył się we wspomnieniach.

PRZEDWCZORAJ

Oskar Grass, dziesięcioletni blondynek, nad wiek inteligentny, wszędobylski i energiczny jak żywe srebro mieszkaniec niemieckiego miasta Danzig, urodzony jeszcze jako obywatel Wolnego Miasta Gdańsk właśnie spożywał późne niedzielne śniadanie przygotowane przez troskliwą matkę, de domo Krystynę Szczucką, obecnie Frau Christine Grass. Posiłek składał się z grzanek z marmoladą i dwóch jajek na miękko; nie był może szczytem wykwintu, ale był smaczny i pożywny. W Gdańsku we wrześniu roku 1944 sytuacja zaopatrzeniowa była w miarę stabilna, choć trudno już było o niektóre bardziej luksusowe artykuły. Życie toczyło się w zasadzie normalnie, nie licząc zwiększonej obecności patroli żandarmerii i Selbstschutzu na ulicach i mocno zaakcentowanej militaryzacji służb publicznych, choćby takich jak pocztowcy.

– Jedz na zdrowie, Oskarku – odezwała się do syna po polsku pani Grass, z czułością czochrając syna po blond czuprynie. – Jedz; pójdziemy do kościoła, a potem masz labę przez resztę dnia, poszalejecie sobie z Ulfem. To mówisz, że nie domyślasz się, jaką niespodziankę mu szykują?...

– Nie mam pojęcia, *Mutti*... mamusi – poprawił się Oskar, przetykając pospiesznie większy kęs grzanki. – Pewnie dostał jakiś prezent, ale wiesz, niespodzianka, to niespodzianka. Może model jachtu?... Ale by było fajnie popuszczać taki model na wodzie... – rozmarzył się. – Andreas mówił, że takie jachty z daleka wyglądają jak prawdziwe!

Oskar rozmawiał z matką po polsku. Ponieważ małżeństwo rodziców było związkiem zrodzonym z prawdziwego uczucia, na skutek czego rodzina Krystyny

wyrzekła się córki, łatwo w nim było o consensus. Gdy tylko okazało się, że pani Grass jest w ciąży, para odbyła ze sobą poważną rozmowę, podczas której przyszła matka z całą stanowczością obstawała przy tym, by dziecko wychowywane było i mówiło w dwóch językach. O dziwo, Werner Grass przystał na to bez najmniejszych targów; zresztą dodatkowo przekonał go do tego pomysłu przyjaciel Ralf Möller, germanista–językoznawca, nauczyciel w jednym z liceów Freie Stadt Danzig, powołując się na słynny cytat z Goethego: *Wie viele Sprachen du sprichst, sooft mal bist du Mensch*¹. Mały Oskar dorastał przeto w mieszanym środowisku językowym; miał nawet dwóch kolegów polskiego pochodzenia, z których niestety tylko jeden postugiwał się jako–tako językiem Mickiewicza. Krystyna zaś dbała o to, by jej synek miał także styczność z polskojęzycznymi lekturami, choć o te nie było łatwo w skrajnie zdominowanym przez niemieckojęzyczną ludność Gdańsku. Udało jej się wszelako zdobyć cudowne książki Makuszyńskiego o Koziołku Matołku, małpce Fiki-Miki i Murzynku Goga-Goga, słuchając których chłopiec zaśmiewał się do łez, a potem samemu już czytał, z początku dukając, a potem coraz płynniej „Przyjaciela wesołego diabła”, „O dwóch takich, co ukradli księżyc”, czy „Szatana z siódmej klasy”, również zaśmiewając się przy nich od czasu do czasu, choć i wzruszając w niektórych momentach – też do łez, których się trochę wstydził.

Po przegranej Polski w 1939 sprawy mocno się skomplikowały, choć w rodzinie Grassów wszystko funkcjonowało prawie tak jak przed wojną. Sytuacja Krystyny stała się trudna; miała do wyboru pozostanie przy polskim obywatelstwie lub przyjęcie statusu volksdeutscha. Volksdeutsche w Gdańsku to

1 Im więcej języków znasz, tyle razy bardziej jesteś człowiekiem.

był byt skrajnie odmienny od swojego odpowiednika w Warszawie czy Krakowie. Podczas gdy na przedwojennych terenach polskich takie osoby były traktowane praktycznie jak zdrajcy, to na tym obszarze nie było to nic nadzwyczajnego. Główną przyczyną była tu struktura etniczna; ponad 90% ludności była Niemcami. Po krótkim rachunku sumienia pani Grass doszła do wniosku, że liczy się przede wszystkim dobro syna i jej rodziny; w tandemie „matka-Polka” postanowiła być najpierw matką, a polskość zachować w sercu. Rejestracja Krystyny jako volksdeutschki przebiegła sprawnie, i sprawa w ten sposób została zamknięta. Tylko jedna z sąsiadek, Hermenegilde Braun, zapiekła wielbicielka narodowego socjalizmu, spluwała ukradkiem na jej widok. Choć dla Frau Grass miała zawsze zarezerwowane uprzejme „Guten Tag”.

Po wybuchu wojny i przyjęciu przez żonę niemieckiego obywatelstwa Werner poprosił ją tylko, by się zbyt „nie wychylała”, i zwłaszcza w sytuacjach publicznych rozmawiała z synem po niemiecku, na co Krystyna z niechęcią, acz zrozumieniem przystała. Tym chętniej zostawała więc z synem w domu, pomagając mu czasem w lekcjach, postugując się przy trudniejszych zagadnieniach wyłącznie encyklopedią Trzaski, Everta i Michalskiego. Także podczas nielicznych spacerów we dwoje, gdy niczych ciekawskich uszu nie było w pobliżu, rozmawiała z synem po polsku. Dzięki temu, a także swojej niepospolitej inteligencji Oskar mówił bez twardego germańskiego akcentu, postugując się pięknym, poprawnym słownictwem; choć pierwsze cztery lata życia były małą drogą przez mękę, gdyż wydawało się, że chłopiec jest opóźniony w rozwoju. Miał słaby zasób słownictwa i straszliwie mieszał obydwa języki, co niejednokrotnie dawało bardzo komiczne efekty, by w wieku około sześciu lat

nagle wstrzelić się w płynną niemczyznę i polszczyznę. Ralf Möller był zachwycony, gdyż potwierdzało to jego teorię o tym, że młody umysł, zmuszony do podwójnego wysiłku musi przez jakiś czas „mieć w miejscu”, zanim zaskoczy na dobre. Problemy z komunikacją skończyły się jak nożem uciętą, a oboje rodzice byli bardzo dumni ze swojej latorośli.

Msza skończyła się. Rodzina państwa Grass wyszła z kościoła, wymieniając pożegnania ze znajomymi; odziany w niedzielny surducik i własnoręcznie, choć pod okiem ojca, wyglansowane trzewiki Oskar karnie maszerował przy matce, trzymając ją za rękę, który to zwyczaj zaczynał go powoli uwierać. Zwłaszcza, że zobaczył w pobliżu Anke Richter, koleżankę z równoległej klasy, posiadaczkę bodaj najdłuższych w całej szkole rzęs, porcelanowochabrowych oczu i rozkosznych dołeczków w policzkach. Na jej widok aż zwolnił i zrobiło mu się trochę ciepło. Chciał jej pomachać, ale pech zrządził, że akurat potknął się o wystający kamień; ramię mamy znalazło się akurat we właściwym miejscu i czasie.

– Oskar, uważaj, przewrócisz się!... Wszystko w porządku?

– Tak, mamusiu. Chyba sznurowadło mi się poluzowało – Oskar przyklęknął, żeby ukryć zaczerwienioną twarz, i udał, że majstruje przy butach. – Już, wszystko dobrze. – Anke zniknęła w międzyczasie gdzieś w tłumie; chłopiec poczuł rozczarowanie, chciał jeszcze przez kilka chwil na nią popatrzeć. – Możemy iść – dodał dzielnie, choć serce boleśnie mu się ścisnęło.

– Dobrze. Chodźmy więc. Zjesz jeszcze zupę przed wyjściem. Ugotowałam ogórkową, tak jak lubisz...

Ogórkowa, którą lubię, pomyślał Oskar. Czym jest ogórkowa, nawet najlepsza, wobec dołeczków w policzkach Anke? Jak można w ogóle myśleć o ogórkowej w takim momencie? Przecież my ze sobą prawie nie rozmawialiśmy, skonstatował. Ostatnio jakieś dwa tygodnie temu na początku roku szkolnego, jak obmawialiśmy nowego nauczyciela algebry. A ja nawet nie wiem, jakie ona lubi książki! Chłopiec jęknął w duchu. Nie ma co, trzeba zmęczyć tę ogórkową, a potem do Ulfa. Boże, spraw, żeby to był model jachtu! Przy takiej zabawie można zapomnieć o całym świecie!

– Uch, przepyszna ta zupa, kochanie – ojciec odsapnął, beknął dyskretnie, poluzował nieco pasek od spodni i uśmiechnął się z czułością do żony; ta odwzajemniła uśmiech z największą przyjemnością. – Zapalę sobie jednego, a potem przejdę się do Bierstube na męskie rozmowy – mrugnął. – A ty, kawalerze, przebierz się. Jak znam życie, to wrócisz utyłtany jak nieboskie stworzenie. Weź wiatrówkę i czapkę, wieczór będzie chłodny. I pamiętaj, przed zmrokiem widzę cię w domu!

– Oczywiście, Vati. Zabieram hulajnogę, dobrze?

– Dobrze, weź. W końcu to twój pojazd – pan Grass posłał synowi uśmiech. – A ty, Krysia? – polską wersję imienia żony wymawiał ze śmiesznym akcentem.

– Ja? Cóż... chyba pójdę do Hildy na plotki. Powinna mieć jakieś nowe żurnale, trzeba zobaczyć, czy Oskarkowi nie da się uszyć czegoś nowego na jesień. Rośnie jak na drożdżach – westchnęła.

– Ano, jak trzeba, to trzeba. Do zobaczenia wieczorem – Ojciec wstał, zdusił papierosa, nałożył marynarkę, ucałował Krystynę w policzek, zmierzwił

synowi włosy na pożegnanie i sięgnął do wieszaka po kapelusz. – Bawcie się dobrze!

– Ty też – odpowiedzieli unisono matka z synem, po czym roześmieli się z tego małego zbiegu okoliczności. Ojciec pogroził im żartobliwie palcem w drzwiach i puścił „perskie oko”.

Oskar zaniósł talerz do zlewu i odwrócił się do matki.

– To ja uciekam, mamusiu. Miłego popołudnia z ciocią Hildą.

– Tobie też miłej zabawy, synku. Uważaj na siebie. I pamiętaj, wróć przed zmrokiem!...

– Będę pamiętał – obiecał. – Do wieczora. – Tym razem on puścił mamie perskie oko. Ta pogroziła mu palcem i posłała całusa.

Oskar zatrzasnął za sobą drzwi i wyjechał na ulicę swoją hulajnogą.

Swoją drogą, ciekawe, czy Anke potrafiłaby zrobić taką dobrą ogórkową?...

Oskar, podekscytowany przeżyciami zaskakująco krótkiego, gdyż pełnego wrażeń popołudnia, żwawo odpychał się na swojej hulajnodze od kocich łbów, zdążając do domu na kolację. Pogoda, mimo kończącego się września i chłodnawej bryzy od morza, była łaskawa; zresztą zaimprovizowany mini–meczek piłki nożnej, rozegrany prawdziwą skórzaną piłką, świeżo przywiezioną Ulfowi przez wujka z Berlina rozgrzał chłopca na tyle, że nie odczuwałby i pięć stopni niższej temperatury. Piłka, postawny mężczyzna w pięknie na nim się prezentującym mundurze wyjściowym Oberführera SS, powiew mitycznego

Berlina, gdzie wszystko musiało być największe, najpiękniejsze i najpotężniejsze, gorąca czekolada, którą go uraczono na podwieczorek, a o którą było już naprawdę niełatwo – wszystko to rozbudziło i zmysły, i wyobraźnię. I wieści, przywiezione przez wuja podobno z otoczenia samego Führera: że Wehrmacht postawi bolszewikom ultimatum, i zatrzyma ofensywę szykowaną przez Amerykanów i Anglików na Północy, że Niemcy podzielą się z Rosjanami Generalną Gubernią i wojna się nareszcie skończy, a Rzesza wyjdzie z niej z twarzą. Martwiło go trochę, jak takie wieści przyjmie mama – oznaczałoby to najprawdopodobniej wymazanie Polski z mapy Europy na Bóg wie ile lat, ale Oskar wierzył, że wszystko może się ułożyć, i w końcu Polacy będą mogli jako tako egzystować pod niemieckim zarządem, już przecież pokojowym.

Tak sobie to układał w głowie, skręcając w Litzmannplatz, gdzie nieliczni już przechodnie udawali się do domów na wieczorny posiłek, a porządku strzegły przechadzające się niespiesznie, acz uważnie obserwujące otoczenie, trzyosobowe patrole żandarmerii. Oskar musiał na chwilę zwolnić, gdyż złapała go kolka; zszedł na bruk, ujął kierownicę jedną ręką i przeszedł w powolny, spacerowy krok, głęboko oddychając, by pozbyć się dolegliwości.

Kilkanaście metrów przed sobą zobaczył starszego człowieka, który kucał przy swoim rowerze, przyglądając się korbowodowi i próbując przy nim coś gmerać. Na twarzy mężczyzny malowało się znużenie połączone z irytacją; widać było, że mamrocze coś pod nosem, i z pewnością nie były to słowa wyrażające zachwyty. Chłopiec postanowił sprawdzić, czy rowerzysta przypadkiem nie potrzebuje pomocy – zresztą i tak szedł w tę stronę. Ku swojemu zaskoczeniu odkrył, że pechowiec mruczy coś w języku, który nie był ani polskim, ani

niemieckim; dotarło do niego słowo: „Helvete”, które mgliście kojarzyło mu się ze Szwajcarią. Tym bardziej zaciekawiony, przyspieszył kroku na tyle, na ile pozwalał bolący bok.

– Przepraszam pana, coś się może stało? Mógłbym jakoś pomóc? – odezwał się trochę nieśmiało do nieznanego po niemiecku. Starszy człowiek uniósł głowę; twarz miał trochę zaczerwienioną i spoconą po niespodziewanym wysiłku.

– Dobry wieczór – mężczyzna odpowiedział w tym samym języku, który leciutko trzącał jakimś obcym, choć na pewno nie polskim akcentem. Westchnął. – Kto wie, może i mógłbyś? – odezwał się jakby na wpół do siebie. – Spadł mi łańcuch, i co gorsza, chyba się zerwał na dobre. – pokazał dwie rozdzielone końcówki. – A do domu mam spory kawałek, i na piechotę ciężko mi będzie dojść, mam chory kręgosłup. Na siodełku jakoś się trzymam, ale prowadzenie tej kozy taki kawał wcale mi się nie uśmiecha. – rowerzysta był wyraźnie zmartwiony. Oskarowi zrobiło się go żal.

– Łańcuch prawie na pewno nie pękł; raczej spadł klips. – pocieszył go. – Daleko stąd to się panu stało?

– Nie, no najwyżej jakieś dwa, trzy metry wstecz. Nacisnąłem na pedał i nagle jakby coś chrupnęło, i zrobiło się luźno. A ma to jakieś znaczenie, młody detektywie? – uśmiechnął się przyjaźnie. Chłopiec odwzajemnił uśmiech, zadowolony z przewagi swojej wiedzy.

– Ma o tyle, że ten klips musi leżeć na bruku te dwa, trzy metry stąd. Nie słyszał pan brzęknięcia?

Stary potrząsnął głową. – Nie, dzwonek jest trochę obluzowany i hałasuje. Nie, nic.

– Nie szkodzi, zaraz rzucę tam okiem; musi gdzieś tu być. – Oskar nabrał animuszu, kolka w międzyczasie zupełnie niepostrzeżenie znikła.

– Gdybyś mógł... ogromnie ci będę wdzięczny.

– To żaden kłopot. No dobrze, poszukajmy...

Chłopiec przykucnął, uważnie wpatrując się w bruk, i zaczął powoli przesuwac się wstecz, w kierunku, z którego nadjechał rower. Po kilkudziesięciu sekundach wydał cichy okrzyk triumfu.

– Jest! – zabłysnął zębami w uśmiechu. Mała, brudna dłoń dzierżyła niewielki kawałek metalu, połyskujący w zachodzącym słońcu. Pospieszył w kierunku pechowego rowerzysty.

– Och, dzięki ci stokrotne, chłopcze!... A powiedz – potrafiłbyś to założyć z powrotem? Niestety, w tych okularach wiele nie zobaczę. Choć jestem z zawodu zegarmistrzem, dobry wzrok przy pracy z małymi mechanizmami to podstawa. A tego mi niestety już brak...

– Oczywiście, bez problemu. Potrzebowałbym tylko czegoś twardego, żeby podważyć klips. Jakiś śrubokręt, albo nóż...

– Mam szwajcarski scyzoryk, pewnie się będzie nadawał. – Mężczyzna sięgnął do kieszeni marynarki i podał narzędzie Oskarowi, który skwapliwie je przyjął, przykucnął, i zaczął majstrować przy mechanizmie. Po kilku sprawnych ruchach i trzech sekundach element zaskoczył.

– Proszę, gotowe. – Chłopiec z uśmiechem zwrócił nóż rowerzyście. Ten rozpromienił się.

– Bardzo, bardzo ci dziękuję. Porządny z ciebie chłopak. Trudno mi by było sobie poradzić, gdyby nie ty...

– Nie ma o czym mówić, lubię bawić się w mechanika. I... przepraszam, mogę pana o coś zapytać?

– Pytaj śmiało, chłopcze. – mężczyzna wypróbował stopą stabilność korbowodu. – Co chciałbyś wiedzieć?

– Pan... pan jest może Szwajcarem? – wypalił Oskar. Starszy człowiek roześmiał się. – Nie; a skąd ci to przyszło do głowy?

– A, bo... – chłopiec się zacukał. – Bo jest pan zegarmistrzem, ma pan szwajcarski nóż, Niemcem chyba pan nie jest, i słyszałem, jak pan powiedział coś o Helwecji, albo coś takiego... No, tak sobie pomyślałem... Ten dedektyw, z książek, Holmes, by tak we...wyedukował.

Ku zaskoczeniu Oskara, stary się zaczerwienił, i to dość mocno.

– Nie... Urodziłem się w Norwegii, a *helvete* – ten wyraz wymówił mocno przyciszonym głosem – to norweskie słowo i oznacza... to znaczy, używamy go w Norwegii, jak się zdenerwujemy. Nie jest najładniejsze. I nie ma nic wspólnego ze Szwajcarią.

– Aha, to pewnie coś takiego, jak nasze słowo na „S” – Oskar uśmiechnął się łobuzersko. – Też go używamy gdy jesteśmy zdenerwowani...

– Nie mówmy już o tym – rowerzysta był najwyraźniej zakłopotany. – Nazywam się Sven Christiansen – wyciągnął dłoń.

– A ja Oskar Grass. Bardzo mi miło – odpowiedział chłopiec formalnie. Starszy człowiek uważnie mu się przyglądał.

– Bardzo bystry z ciebie i świetnie wychowany młody człowiek, Oskarze.
– odezwał się wreszcie. – Chciałbym cię w ramach podziękowania do siebie zaprosić. Na herbatę i pyszny Apfelstrudel, który akurat jutro upiecze jak co tydzień moja gosposia. Możemy też porozmawiać o mechanice, skoro to cię tak interesuje. Chcesz?

– Bardzo! – Oskar momentalnie nabrał entuzjazmu. – A gdzie pan mieszka?

– Na Stolzenbergu. Friedrichgasse 15, mieszkanie 2, od ogrodu. Zapamiętasz?

– Oczywiście, proszę pana. O której mogę przyjść?

– W dni powszednie nie wychodzę prawie w ogóle z domu po 17. Zapraszam cię na wpół do szóstej. Rodzice puszcza cię tak późno?

– Oczywiście, zresztą to niedaleko ode mnie. W takim razie do zobaczenia, muszę pędzić na kolację! – Oskar wskoczył na hulajnogę.

– Do jutra, Oskarze! – Sven Christiansen pomachał mu ręką na pożegnanie. – Będę czekał, i jeszcze raz dziękuję za pomoc!

Oskar odmachnął, odepchnął się mocno stopą i pognał w kierunku domu.

Nie wiedział, że to spotkanie przekreśli jego dotychczasowe – o ile jakiegdyś było mu pisane – przeznaczenie. I odwróci je o sto osiemdziesiąt stopni, fundując mu całkiem nowe życie. W przenośni i dosłownie.

... – słyszysz mnie, chłopcze?!?! Rozumiesz?! *Verstehst du mich?*...

Oskara trzymał za ramiona, delikatnie nimi potrząsając, klęczący przed nim mężczyzna w uniformie Danziger Feuerwehr, wpatrując się w jego twarz z wyraźną troską. Gdyby ktoś chciał mu zrobić zdjęcie, chłopiec wyglądałby na nim jak skazaniec przed egzekucją; nieobecny wzrok, w którym zastygła niema, a przecież tak głośna rozpacz, pomazana sadzą twarz, na której łyzy wyrzeźbiły bruzdy jak po rozmazanym makijażu, i przejmujące *chiaroscuro* dopalających się płomieni i mroku nocy. Nikt jednak nie miał przy sobie aparatu fotograficznego, a nawet gdyby miał, to pewnie nie przyszłoby mu do głowy utrwalanie dramatu ofiar. Epoka paparazzi i nagrody Word Press Photo miała dopiero nadejść, choć już niedługo świat miał zobaczyć zatknięcie amerykańskiej flagi na Iwo Jimie i sowieckiej na szczycie Brandenburger Tor. Tymczasem w sercu Oskara rozgrywała się gigantyczna, jednoosobowa, samotna tragedia. Jego ukochani mama i Vati po prostu przestali być. W czasie przerwy między obiadem a kolacją, podczas której zdążył rozegrać z Ulfem mecz piłki nożnej, wypić pyszną czekoladę i pomóc Svenowi naprawić rower. Zginęli oboje w momencie, gdy próbowali się wydostać z płonącego mieszkania, miotając się między chęcią ocalenia jedno drugiemu życia, szukaniem najbezpieczniejszego wyjścia z pułapki, a próbą pochwylenia kasetki z kosztownościami. W momencie, gdy Oskar zapinał klips na łańcuchu pechowego rowerzysty. I z pewnością ta wiedza w niczym by mu nie pomogła. Ani niczego nie zmieniła.

Chłopiec dostrzegł wreszcie strażaka usiłującego nawiązać z nim kontakt słowny. Albo choćby wzrokowy. I popatrzył na niego oczami chłopca, który się w kilka chwil postarzał o dekady. Oczami starca.

– Ja... *Ich* widzę. Ja *sehe*. – pomieszał ze sobą polski i niemiecki, częściowo wskutek szoku, częściowo dlatego, że mężczyzna zadawał mu pytania na przemian w obydwu językach. – Widzę. Słyszę... pana. Tak.

I starzec-chłopiec nagle rozszlochał się rozpaczliwie, rozjęczał. Padł na kolana; troskliwe ramię ratownika powstrzymało go przed upadkiem. Twarz mężczyzny, o którego ramię oparła się chłopięca głowa, poszarzała; czoło przecięła mu bruzda, oczy zwilgotniały. Pewnie od wszechobecnego, gryzącego dymu. Uwe Stein był prawym człowiekiem i twardym, doświadczonym funkcjonariuszem. Ale też miał syna, może o rok, dwa starszego od tego tutaj. I pomyślał, jak jego chłopiec poczułby się, gdyby ojciec poległ na posterunku. I doszedł do wniosku, że nie chce sobie tego wyobrazić.

– No już, już, chłopcze... wszystko będzie dobrze... – Hauptfeuerwehrmann Stein doskonale wiedział, że dla tego chłopca nic niebędzie dobrze, i to diabli wiedzą przez jak długi czas. I jeszcze ta pierdolona wojna... Poczuł straszną ochotę na haka mocnego sznapsa, najlepiej polskiego. Ale to dopiero po służbie.

– Hermann!... – kiwnął dłonią na podwładnego. – *Komm hier, sofort*. Hermann – starał się mówić na tyle wyraźnie, na ile pozwalały mu spazmy opartego o jego bark dzieciaka – Powiedz mi, że Trudi ma dziś dyżur, na Boga!... Jest z łapiduchami?...

– Jest, szefie. Kieruje akcją. – Hermann otarł rękawicą spoconą twarz, rozmazując sadzę i ścierając resztki spalonych brwi. – Będzie potrzebna, widzę? – obrzucił Oskara zatroskanym spojrzeniem.

– Tak, dawaj ją tu, biegiem! Niech sceduje obowiązki na zastępcę. Powiedz, że bardzo ją o to proszę. No, raz, dwa!...

– *Zum Befehl!*

Getrude Sandow, zastępczyni dyrektora gdańskiego pogotowia, właśnie wydawała ostatnie dyspozycje co do ofiar, które przeżyły pożar. Teraz teren przejmowali ci, których zadaniem – bodaj najbardziej nieprzyjemnym i najniewdzięczniejszym ze wszystkich – było odgruzowywanie pogorzeliska w poszukiwaniu ofiar, które nie miały tyle szczęścia. Ofiar najczęściej w stanie uniemożliwiającym identyfikację. Getrude westchnęła, soczycie zakłęła, po czym zapaliła papierosa. Przepisy co prawda tego zabraniały, ale Trudi po pierwsze miała to w dupie, po drugie z jej stanowiskiem mogła to mieć w dupie, po trzecie jeden papieros nie spowoduje większego pożaru, od tego, który właśnie dogasał, a po czwarte bardzo potrzebowała papierosa. I w pełni nań zasłużyła.

Między trzecim a czwartym zaciągnięciem zobaczyła biegnącego w jej kierunku Hermanna. Oho, będzie miał do mnie jakiś interes, pomyślała.

Hermann miał do niej interes.

– *Frau Sandow!* – zsalutował strażak. – Melduję, że... że mój dowódca przekazuje, że...

– Nie melduj, Hermann. Mów. – pani wicedyrektor wydmuchnęła dym nosem. – Szybciej się dogadamy. No, co tam?

– Ech... no więc, pani dyrektor: sprawa jest taka, że mój dow... eee, Uwe, ma mały kłopot z tym dzieciakiem...

– Z jakim dzieciakiem? – pani dyrektor zmarszczyła brwi. – Składniej, Hermann!...

– *Donnerwetter!* No chodzi o to, że na pogorzelnisko dotarł chłopaczek, Oskar Grass, syn tych Grassów... to znaczy, takiego małżeństwa, co się tam spaliło. No i teraz ten chłopaczek płacze Uwemu w rękaw, a on ma całą akcję na głowie. No i będzie go trzeba zabrać na policję, papierkologia, i w ogóle ten cały burdel...

– A twardziele strażacy mają subtelność przecinaka do tapet, i takie zadanie ich oczywiście przerasta?... – Trudi domyślnie uniosła brwi. – Ech, jak dzieci, tylko duże i więcej szkodzą... Mały fizycznie w porządku?

– Tak... tak mi się wydaje. Przyjechał na hulajnodze, zobaczył co się święci, i chciał lecieć w ogień ratować... Andreas go ledwo powstrzymał... Uwe bardzo prosi...

Uwe bardzo prosi, pomyślała pani wicedyrektor gdańskiego pogotowia. Oj tak, Uwe umie skutecznie prosić. Najskuteczniej przez pośredników, albo bez słów. Najskuteczniej bez słów wtedy, kiedy... kiedy się doprosił. Ale to było dawno, jeszcze przed wojną. A życie toczy się dalej...

– Dobra. – Trudi rzuciła niedopałek na ziemię, przydeptała. – Prowadź.

Gdy dotarli na miejsce, wystarczył jej jeden rzut oka, by zorientować się w sytuacji. Oskar siedział na ziemi, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w nieskończoność, a Hauptfeuerwehrmann Stein, kucając przy nim, próbował kierować końcówką akcji, gestykulując i pokrzykując na podkomendnych.

– Uwe. Spocznij. Zajmę się małym.

Hauptfeuerwehrmann Stein wstał.

– Trudi. Dziękuję ci. Ja teraz... – wydukał, wykonując gest w kierunku swojego zespołu.

– Jasne. Wracaj do obowiązków. Ja sobie tu poradzę.

Kłęknęła przy chłopcu. Mój Boże, jakie on ma oczy, pomyślała. Jakby przeżył Stutthof w ciągu pół godziny... Trudi była raz w obozie, wezwana na konsultacje medyczne. Obiecała sobie, że nigdy więcej. I powiedziała zastępcy komendanta, że za następnym razem uczyni użytek ze swojego służbowego parabellum. I że będzie jej obojętne, kogo z niego najpierw zastrzeli. Ze wskazaniem na pierwszeństwo zastępcy komendanta.

– Oskarze... słyszysz mnie i rozumiesz? – Ujęła chłopca delikatnie za ramiona.

Kiwnięcie głową. I puste spojrzenie szklanych oczu.

Nerwowo odgarnęła kosmyk włosów z czoła, uśmiechnęła się samymi ustami.

– Oskarze... Jestem lekarką. Mam na imię Getrude. Musimy porozmawiać. Chcę... chcę ci pomóc.

Porucznik Schutzpolizei, Ernst Schöller skończył właśnie pisanie raportu na maszynie i zaklął, nie po raz pierwszy zresztą dzisiejszego dnia.

– No i co robimy teraz z całym tym bajzlem? – zagaił do swojego serdecznego kolegi, Maxa Egera z Kripo, który na zasadzie koleżeńskiej współpracy zgodził się pomóc mu przy prowadzeniu tej bądź co bądź dość nietypowej sprawy. – Masz jakiś pomysł?...

Max wzruszył ramionami.

– Na razie mamy związane ręce, póki góra nie zdecyduje, w którą stronę to popchnąć. Pytanie, jak bardzo chcesz, żeby to było podpalenie. A znając cię, to nie chcesz w ogóle. Ale póki nie zamknięto dochodzenia i analizy materiału dowodowego, to głównie możesz zrobić, taka jest prawda.

– Tja... tyle to sam wiem – burknął Ernst. – Ale co teraz z małym? Przecież nie będziemy budzić tego jego wujostwa w środku nocy, i to jeszcze z takimi wieściami. A z drugiej strony, gdzie on się prześpi? Przecież go nie zamknę na noc w celi, bo do reszty zwariuje... no, ochuć można!

Max westchnął.

– Boże, uchroni mnie od przyjaciół!... – mruknął na wpół do siebie. – Diabli nadali... Słuchaj, daj mi motocykl. Podjadę do Heidi, to jedyne, co mi o tej porze przychodzi do głowy. A dług wdzięczności ma u nas więcej niż jeden.

– Do burdelu?! – Ernst wytrzeszczył oczy – Dziesięciolatka?...

– A kto nie śpi o tej porze, i to jeszcze w niedzielę? Tylko kurwy i złodzieje. To już wybaczyć, ale z tego zestawienia to zdecydowanie zalecałbym dziewczki. Mają miękkie serca. A poza tym w tym jej kombinacie są nie same *Fickenraumy*. Przecież muszą się kamuflować, przed nami zresztą. Chyba, że sam masz lepszy pomysł...

– No, kurwa, nie mam. A, szlag!... Niech się przynajmniej chłopak przytuli do jakiegoś miękkiego cyca, zamiast z łapskami przez całą noc siedzieć... nakarmię go tam jeszcze, umyją... A jutro trzeba zawiadomić tych Schwartzów, to go przygarną. Z tego, co mówił, to teraz jego najbliższa rodzina. Dobra, bierz maszynę, jedź i pogadaj z Wiewióreczką, to nie jest sprawa na telefon. Obrócisz tak gdzieś do godziny? Hans i ja na niańki się jakoś słabo nadajemy. Dostał jakieś

żurnale do przeglądania, ale jemu to teraz nie w głowie. Siedzi biedaczyna i się w ścianę wgapia.

– Nie bój nic, kolego. Będę się spręzał. Na razie.

Ernst machnął przyjacielowi ręką, odchylił się na krześle, i zaczął masować palcami kąciki oczu.

Był bardzo zmęczony.

Oskar przewrócił się z boku na bok pod puchową kołdrą, próbując złapać resztki uciekającego snu, którego leitmotywem były dołeczki w policzkach Anke i rosół, którego normalnie serdecznie nie znosił, ale ponieważ zrobiła go Anke, nie mógł sprawiać jej przykrości. Zaraz mama zerwie mnie do szkoły, a tak słodko się marzy... ale dlaczego nie mam poczucia, że jest wcześniej? I dlaczego ta kołdra jest taka gruba, i tak dziwnie, choć tak ładnie pachnie – lawendą? Skąd u nas w domu lawenda?...

Otworzył oczy. I świat rzeczywisty uderzył go z całej mocy, jakby kowadłem prosto w potylicę. Zobaczył obcy wzór tapety, sufit o niewidzianym wcześniej kolorze i kilka mebli, jakich nigdy w domu nie było. I wszystko do niego dotarło, z całą bolesnością i brutalnością.

Oczy błyskawicznie, jakby bez jego udziału, wypełniły się łzami, w nosie załaskotało nieprzyjemnie, a obcy pokój zawirował. Zrobiło mu się niedobrze; zagryzł palec, aż zabolęło i zwinął się w suchym, bezgłośnym szlochu. Wtulił twarz głęboko w poduszkę, by stłumić łkanie; łóżko zadygotało i zaczęło rytmicznie skrzypieć.

Drzwi do pomieszczenia otwały się delikatnie. Kobieta, która doń weszła, miała tak na oko może sześćdziesiąt lat (w rzeczywistości pięćdziesiąt jeden), burzę wyfiokowanych blond loków i olbrzymi biust; ten „znak firmowy” był znany większości wtajemniczonego gdańskiego towarzystwa jako własność Heidi Blumke, zwanej „Wiewióreczką”. Kiedyś, w latach dwudziestych znany połowie Berlina, w którym pocieszenie po traumie poprzedniej wojny było towarem nader chodliwym. Powodzenie Heidi i jej berlińskiego interesu stało się solą w oku ówczesnego króla podziemia, zwanego Papa Schneider, który dążył do zmonopolizowania rynku tak zwanych „usług poziomych”. Heidi złożono propozycję nie do odrzucenia: albo przyłączy się do imperium Papy w roli maleńkiego ogniwa potężnego konsorcjum, albo wyląduje na dnie Szprewy w mocno niekompletnym stanie, a jej burdel zostanie przejęty. Heidi po szybkim przemyśleniu sprawy i przeanalizowaniu aktywów i pasywów doszła do wniosku, że może sobie, finansowo i logistycznie, pozwolić na przenosiny do innego miasta. Najlepiej dużego, położonego niezbyt blisko Berlina i z odpowiednio wygłodniałą klientelą. Danzig był pod każdym względem wyborem idealnym, a wzięwszy pod uwagę jej gdańskie znajomości – wprost wymarzoną. Na pożegnanie wynajęła po przystępnej cenie niewielki gang podpalaczy, któremu przez pośredników zapłaciła za dokładne zniszczenie jej berlińskiej placówki; na otwartą konfrontację z Papą nie miała ani środków, ani odwagi. Po czym wymościła sobie gniazdko w Gdańsku, które zapewniało jej po dziś dzień dostatni byt. A o to wszak chodziło.

Heidi nieraz myślała o tym, jak to dobrze się złożyło, że udało jej się wyrwać z Berlina, gdzie zaczynało jej już być nieco duszno od atmosfery

przepełnionej nazistowską propagandą, pełnej dupków oprószonych złotem epoletów otrzymanych w prezencie od dobrego wujka Adiego i pyszniących się swymi „von” przed nazwiskami. Dupków, którzy niejednokrotnie wymykali się bez płacenia za usługi, grożąc swoimi koneksjami i zakresem władzy. Ale dziś Heidi nie było stać na refleksje nad swoim sprytem czy szczęściem. Dziś Heidi miała zmartwienie.

Zmartwienie miało dziesięć lat, nazywało się Oskar Grass, i właśnie szlochało jej w piernaty. Heidi, jak słusznie założył bystry porucznik Schöller, była dziwką o złotym sercu, i głęboko przejęła się losem chłopca, pokrótce zreferowanym jej przez Maxa. Przywieziono go jej w środku nocy, umorusanego, zasmarkanego i praktycznie nie reagującego na żadne nagabywania. Gdy mu oznajmiono, że weźmie gorącą kąpiel i pójdzie spać, wydawał się najwyżej z ledwością rejestrować te fakty. Albo było mu to głęboko obojętne. Odziany tylko w koszulkę gimnastyczną i spodenki, buchający parą i woniejący lawendowym mydłem Oskar zwałił się na łóżko, a Heidi poczęstowała go herbatą z rumem (pomoże, a na pewno nie zaszkodzi) i siedziała przy nim, głaszcząc go po blond głowinie, majstrując koronkową chusteczką przy oczach i nucąc mu jakąś kotyśankę. Dopóki chłopiec nie zaczął miarowo posapywać, a Heidi nie zdała sobie sprawy z tego, że nuci melodię knajackiej ballady o Antonie nożowniku i jego nieszczęśliwej miłości do Czarnej Hildy, zawodowej dziwki. Heidi zakłęta pod nosem i poszła do dziewczyn ukoić zszargane nerwy podwójną porcją koniaku. Skończyło się na potrójnej.

– Oskarze?... – zagaiła Wiewióreczka, delikatnie kładąc mu upierścienioną dłoń na potylicy. – Słyszysz mnie? Możemy porozmawiać?

Dwa smarknięcia i jedno chrząknięcie później głowa chłopca poruszyła się, uniosła, i na Heidi spojrzwały dwa błyszczące jeziorka bezbrzeżnej rozpacz. Burdelmama westchnęła.

– Oskarze... pamiętasz? Przywiózł cię tu wczoraj wieczorem taki jeden pan z policji. Na motocyklu. Poprosił, żebym ci udzieliła gościny...

Chłopiec kiwnął głową, smarknął; na lewy policzek skapnęła mu łza. Heidi przełknęła ślinę przez ściśnięte gardło.

– No więc, sprawa jest taka – zaczęła ostrożnie. – Wiem... wiemy – poprawiła się – co się wczoraj zdarzyło, ogromnie ci współczujemy – otarła łzę z kącika oka – i teraz...

– Kim pani jest? – po raz pierwszy od poprzedniego dnia Oskar przemówił pełnym zdaniem. – I co to za miejsce?

Takie proste dziecięce pytanie, pomyślała Heidi, a ja nie wiem jak odpowiedzieć. Otóż, drogie dziecko, ja jestem kurwą, a to jest burdel. Najświętsza Panienko, pomóż...

Odchrząknęła.

– Mam na imię Heidi. Heidi Blumke. I jestem... to znaczy, to jest taki hotel, a ja jestem tu właścicielką.

– Hotel? – Oskar otworzył szerzej oczy, przetarł je pięściami. – To znaczy... że będę musiał zapłacić?

– Nie, nie, nie! – Wiewióreczka zamachała rękami jak holenderski wiatrak przy żniwach. – Broń Boże! To po prostu przyjacielska przysługa, nie wszystko się kupuje za pieniądze. Ale muszę cię zapytać o parę rzeczy. Mogę?

– Tak – Oskar ściągnął brwi, skoncentrował spojrzenie. – Proszę, niech pani pyta. – usiadł na łóżku.

– No dobrze. Otóż... Ten policjant, Max, mówił mi, że możesz na razie zamieszkać u swojego wujostwa, państwa Schwartz. Zgadza się?

Chłopiec kiwnął głową. Spojrzenie skoncentrowało się jeszcze mocniej, choć pojawiła się w nim jakby nuta niepokoju. Heidi zauważyła tę nutę, choć nic dała nic po sobie znać. Znała życie.

– Chodzi o to, że policja być może będzie chciał z tobą porozmawiać jeszcze raz. Bo na razie nie wiadomo, jak... jak do tego wszystkiego doszło. A jeśli ktoś jest temu winien, to trzeba go złapać i ukarać. Rozumiesz?

– Rozumiem – Oskar najwyraźniej włączył myślenie, i to co najmniej na drugim biegu.

– Dobrze. Do tego potrzebny będzie policji adres twojego wujostwa, żeby mogli się z tobą skontaktować, gdy będzie taka potrzeba. Pamiętasz go?

Oskar intensywnie wpatrywał się w rozmówczynię. Po czym uciekł spojrzeniem w bok. Milczał chwilę.

– Tak... to znaczy nie. To znaczy wiem, jak tam trafić, ale nie pamiętam numeru domu ani mieszkania. Na ulicę też trafię, ale... nazwy sobie teraz nie przypominam.

Kłamie – pomyślała burdelmama – i pomyślała trafnie. Ale dlaczego kłamie? Postanowiła mu pójść na rękę i równocześnie trochę go podpuścić.

– Rozumiem. Czyli jak stąd wyjdiesz, pójdziesz do wujostwa i trafisz? Przyjdiesz potem i podasz mi adres?

– Tak – odpowiedział pospiesznie i kiwnął głową. – Przyjdę i podam. A tak przy okazji – którą mamy godzinę?

– Dochodzi dwunasta – odpowiedziała Heidi machinalnie i zgodnie z prawdą. Po co mu wiedzieć? Dzieci w jego wieku przeważnie prawie w ogóle nie zauważają istnienia zegarków... Mimo całego współczucia i sympatii do małego rozbitka życiowego włączył jej się w głowie moduł śledczy; pozostałość po wcale nie tak krótkim związku z pewnym oficerem dochodzeniowym berlińskiej Kripo. – Zjesz coś?

– Tak, bardzo proszę, jeśli to nie kłopot. Dziękuję. – Oskar zdobył się na coś na kształt prawie półuśmiechu.

Co ten dzieciak ma w głowie? Regeneruje się jak maszyna, pomyślała zaskoczona. I wydaje się, że mocno w tej chwili główkuje; o czym on tam roi? A wyglądał na typowy, raczej wydelikacowany produkt niemieckiej klasy średniej. Może ja nie znam życia tak dobrze, jak mi się wydaje?

– Lubisz rogaliki? Mogą być z marmoladą? Wolisz kawę zbożową, czy herbatę?

Kawa podobno stawia na nogi i wzmacnia. A ja potrzebuję wzmocnienia, pomyślał.

– Bardzo proszę o kawę. Bardzo pani dziękuję.

– Świetnie. Zaraz ktoś ci przyniesie. Lepiej się czujesz, tak w ogóle?

– Tak. Pani jest bardzo kochana – tym razem uśmiechnął się naprawdę.

Matko jedyna! Co za łobuziak! Ale taki uroczy. Przecież on nie może być wyrachowany w tym wieku... Prawie na pewno ma coś do ukrycia, ale nic, za co można by go obwiniać. Ale ja i tak postaram się dowiedzieć, co to jest.

Zeszła do baru.

– Gretchen, *Liebling*, zrób chłopcu zbożówki z mlekiem i rogalika z marmoladą i zanieś na górę, dobrze? – zwróciła się do siedemnastoletniej „praktykantki”, po której sobie sporo obiecywała. Podobnie zresztą jak większość z jej klientów; choć motywacje i oczekiwania każdej ze stron były zgoła odmienne.

– Oczywiście, Madame. Dwie minutki – Gretchen posłusznie skinęła blond główką.

Heidi udała się do swojego prywatnego gabinetu, w którym miała zainstalowany cud nowożytnej techniki: telefon. W Gdańsku czasów wojny mało kto mógł sobie pozwolić na takie cacko. Wykręciła jeden ze znanych na pamięć numerów.

– Halo? Anton, za ile możesz tu być?... Na jednej nodze!... Dobrze, nie więcej niż piętnaście, czekam.

Oskar zajął się pysznym rogalikiem; dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo zgłodniał. Choć w głębi serca szarpała go głucha rozpacz, zdawał sobie sprawę, że musi teraz w dużej mierze sam o siebie zadbać. Za nic w świecie nie chciał iść do wujostwa Schwartz; wystarczająco wiele już tam widział podczas kilku okazjonalnych spotkań. Ciocię z kiepsko przypudrowaną, posiniaczoną twarzą, złe błyski w oczach wuja Egona po kilku sznapsach i zapłakane oczy sześćioletniej kuzynki Beate. Wobec czego intensywnie myślał, a jego plan przyjął ostateczny kształt z ostatnim kęsem rogalia i łykiem zbożowej kawy. Nie na darmo pytał o czas; powinien wyjść stąd około pierwszej, a potem... „W dni powszednie nie wychodzę prawie w ogóle z domu po 17...”.

Cztery godziny czasu do zagospodarowania. Chyba, że będę miał szczęście...

Do pokoju weszła Heidi. Ku swojemu zaskoczeniu zastała Oskara w pełni ubranego, uczesanego i dojadającego właśnie resztki późnego śniadania. Tak, mały regenerował się rzeczywiście zaskakująco szybko.

– Potrzebujesz może czegoś jeszcze, Oskarze? – zagaiła ciepło.

– Nie, Frau Blumke. Bardzo dziękuję za gościnę. Będę się chyba zbierał. Do wujostwa. Przyjdę niedługo.

Tak, przyjdiesz, jak ja zobaczę swoje ucho, pomyślała Wiewióreczka. Jakikolwiek jednak jest twój plan, chłopcze, będziesz potrzebował wspomżenia...

– Dobrze. Cieszę się, że mogłam ci pomóc. A tu... – wyciągnęła zza pazuchy kopertę. – Weź to. Nie wiadomo, kiedy może się przydać...

Widząc jego zaskoczoną minę, dodała: – Nie protestuj. Rozdziel to ostrożnie po kieszeniach; papierki dobrze ukryj, a w kieszeni spodni nie trzymaj więcej niż kilka monet. Różne rzeczy się w życiu przydarzają, również małym chłopcom... – pociągnęła energicznie nosem.

Ku jej gigantycznemu zaskoczeniu, Oskar przypadł do niej, objął ją za szyję i wycisnął soczysty pocałunek na jej pokrytym różem policzku. Objęła go odruchowo, z początku niechętnie, po czym oddała uścisk z całą mocą, może trochę za mocno. Chłopiec jęknął z cicha.

– Oj, przepraszam cię bardzo – oczy burdelmamy zwilgotniały nie wiadomo już który raz dzisiejszej doby. – Niech cię Bóg prowadzi, chłopcze...

Anton, człowiek od zadań różnych i nietypowych zjawił się w burdelu pięć minut później. Heidi zamierzała mu nakazać śledzenie Oskara, gdyż z czystej babskiej ciekawości pragnęła wiedzieć, dokąd właściwie młody człowiek planuje się udać i dlaczego. Ale doszła do wniosku, że tak naprawdę ta wiedza wcale nie jest jej potrzebna.

– Niech cię Bóg prowadzi, chłopcze – powtórzyła szeptem do siebie Heidi Blumke, właścicielka zamtuza „Zur Schwarzen Katze” w Gdańsku, zamykając za Oskarem drzwi frontowe. – Niech cię Bóg prowadzi.

Cztery godziny do zagospodarowania...

Powinienem przecież być teraz w szkole, pomyślał Oskar. Ale mnie nie ma. Co teraz? Czy ktoś się tym zainteresuje? Czy policja mnie nie szuka? Czy mogli być w mojej szkole? Myśl, myśl, nakazał sobie.

Dziesięcioletni chłopiec z dylematem dorosłego.

Doszedł do wniosku, że policja chyba nie ma powodu, żeby go szukać w szkole od razu dziś; mieli się przecież z nim kontaktować przez Frau Blumke. Czyli jest pewnie jakieś dwa, trzy dni czasu. Ale dwa, czy trzy? A może jeden? Skąd dziesięciolatek miałby wiedzieć, jak wyglądają policyjne procedury?

Postanowienie o trzymaniu się z daleka od domu wujostwa było niezłomne, ale zdawał sobie sprawę, że mogą go do tego zmusić, albo odejść do sierocińca. Ponownie napłynęły mu do oczu łzy, i zaczęły kapać na policzki. Otarł je szybko, ukradkiem. Nikt postronny nie powinien widzieć tych łez, jeszcze ktoś

gotów się zainteresować. Co powie: że ukradli mu rower? A potem nagle zacznie szlochać – z powodu roweru?

Głęboko westchnął, przystanął i zaczął miarowo oddychać. Pomogło.

Wracać do Heidi, czy nie? Powiedzieć jej całą prawdę? Była bardzo pomocna, miła i wydawała się szczerze przejmować jego losem, ale czy mógł jej zawierzyć? Poza tym zarządza hotelem, a tam się kręci pewnie dużo ludzi. Ale dlaczego miałby zaufać Svenowi?

Postanowił przeanalizować sytuację tak, jak zrobiłby to Sherlock Holmes.

Jakie są możliwości?

Pierwsza: zostanie zmuszony do zamieszkania ze Schwartzami albo w sierocińcu. Bez względu na to, jak to się odbędzie, będzie to oznaczać porażkę.

Druga: pozostanie wolny, ale będzie musiał radzić sobie w dużej mierze sam, albo komuś zaufać. Sam nie da rady, a więc będzie musiał poszukać pomocy. Możliwości były dwie: Heidi albo Sven. Drzwi do hotelu Heidi są otwarte; w końcu i tak miał i tak u niej się zameldować. Tutaj decyzję można odłożyć na później. Zanotował też sobie w głowie, że trzeba przeliczyć otrzymane od niej pieniądze, najlepiej gdzieś w ustronnym miejscu. Ale w takim, żeby nikt tych pieniędzy nie zechciał mu odebrać; na to na razie nie miał pomysłu.

Dobrze, a więc na razie zostaje Sven. Przez chwilę przemknęła mu przez głowę myśl, że mógłby spróbować przedostać się na jakiś statek do Afryki, ale szybko skonstatował, że życie chyba nie wygląda tak, jak w przygodach małpki Fiki-Miki. Poza tym trwała wojna, a on bardzo dobrze pamiętał traumę bombardowania portu gdyńskiego z października zeszłego roku. Wojny toczy się

także na morzu, a tam nie ma żartów... statki handlowe też są bez pardonu zatapiane, niejedno już na ten temat słyszał.

Tok myśli zakłóciło mu rytmiczne bicie dzwonów pobliskiego kościoła. Kościół!... Poczuł, że powinien przynajmniej odmówić modlitwę za dusze rodziców; w nosie go znów coś niepokojąco załaskotało. Potrzebował przyjaciela, któremu można zwierzyć się ze wszystkiego, a przecież takim najlepszym ze wszystkich powiernikiem i pocieszycielem był wszak Jezus. Zauważył wychodzącą ze środka starszą kobietę, z czego wywnioskował, że kościół jest otwarty.

Zdecydowanym krokiem skierował się w stronę wejścia.

Ojciec Steffen, wikariusz Katharinenkirche, właśnie skończył spowiadać ostatniego już dziś penitenta, zdjął stułę, ucałował ją, po czym wyjrzał z konfesjonatu. Chłopiec, może dziesięcioletni, którego zauważył prawie godzinę temu, nadal siedział w jednej z ostatnich ławek z dłońmi splecionymi jak do modlitwy. Ale się nie modlił; od pewnego czasu był zapatrzony w jeden punkt i tkwił tak nieruchomo. Wyraz twarzy miał jakby nieobecny, a coś w jego spojrzeniu mówiło, że przyszedł tu z potrzeby, a nie dlatego, że na przykład jego spowiednik zalecił mu pokutę. Ponieważ wikariusz nie miał dziś na głowie żadnych naglących obowiązków, postanowił z chłopcem porozmawiać; kto wie, może potrzebował pomocy, albo przynajmniej dobrego słowa?

Oskar wyczuł przy sobie obecność innej osoby. Zaniepokoił się trochę, ale szybko doszedł do wniosku, że w kościele nie może mu grozić nic złego. Obrócił głowę w bok i podniósł wzrok. Zobaczył księdza w sutannie.

– *Gelobt sei Jesus Christ* – odezwał się cicho.

– *In Ewigkeit, amen* – odpowiedział mu duchowny. Nie czekając na zaproszenie przysiadł z brzeżku ławki obok chłopca.

– Przyszedłeś się pomodlić, synu? Prosisz o przebaczenie, o łaski?... – zagał ksiądz.

Chłopiec zacisnął lekko usta. W oczach zaślnęły mu łzy.

– Przyszedłem... przyszedłem pomodlić się za dusze moich rodziców – wyrzucił z siebie. Ojciec Steffen uniósł brwi. Chłopiec głośno przełknął ślinę. – Zginęli w pożarze... wczoraj w nocy – błędził oczami po twarzy duchownego, jakby instynktownie szukając tam pociechy.

Wikariusz poważnie skinął głową. I uklęknął przy nim.

– Wobec tego pomódlmy się razem. A potem możemy porozmawiać. Jeśli tego potrzebujesz.

Tym razem głową skinął Oskar.

– ... a dlaczego nie chcesz u nich zamieszkać? – zapytał ksiądz Steffen. Siedzieli w probostwie na tyłach kościoła; Oskar zajadał się kanapkami z serem i miodem przyrządzonymi przez gospozię wikariusza, popijając je owocową herbatą.

– Bo... – Oskar przełknął – bo jestem prawie pewien, że wujek Egon bije ciocię. I kuzynkę Beate. I pije. I to nie tylko piwo... – dodał już ciszej.

Duchowny zaciągnął się papierosem i podrapał się po brodzie. Westchnął z cicha.

– To nie taka łatwa sprawa, Oskarchen. – Oskar drgnął. Tak czasami zwracał się do niego ukochany Vati. – Nie taka łatwa. Widzisz... do szkoły chodzić musisz, inaczej może cię poszukiwać policja – oczy chłopca rozszerzyły się z przerażenia. – Mógłbyś mi podać adres wujostwa?

– Lindenstrasse 6, mieszkania 4 – wyrecytował Oskar płynnie.

– Aha... – ojciec Steffen zmarszczył brwi i zapisał coś w notatniku. – Muszę sprawdzić, która to parafia... tam kiedyś chyba działali ojcowie pallotyni, katolicy, ale dziś tak się wszystko pomieszało... No, nic. Posłuchaj, Oskarze. Sprawa nie jest prosta, jak mówiłem. Trzeba byłoby najpierw wykazać, że Herr Egon Schwartz faktycznie znęca się nad rodziną, albo sprawdzić, czy nie był za to kiedyś karany. Rozumiesz?

Oskar przytaknął skinieniem głowy.

– Jeśli był za to karany, to sprawa jest prostsza. Można... – ksiądz przez chwilę szukał słowa, które byłoby zrozumiałe dla dziesięciolatka – można poprosić władze, żebyś nie musiał mieszkać ani u Schwartzów, ani w sierocińcu. – Twarz Oskara pojaśniała.

– Ale – duchowny uniósł palec – ... ale władze wcale nie muszą się na to zgodzić.

Oskar przygał.

– Jeśli zaś się zgodzą – wikariusz wstał, splótł dłonie za plecami i zaczął przechadzać się po pomieszczeniu – To trzeba ci znaleźć opiekuna. Mówisz, że ten Herr Christiansen to osoba godna zaufania?

– Ja... ja nie wiem, czy godna zaufania... dla władz – wydukał Oskar. – To... naukowiec. Bardzo... szanowany.

Czemu kłamiesz, chłopcze, pomyślał z troską ksiądz. To znaczy wiem, czemu kłamiesz: boisz się. Ale dlaczego aż tak bardzo chcesz zamieszkać z kimkolwiek innym, byle nie z wujem? Panno święta, cóż ta wojna robi z ludźmi, nawet niewinnym dzieciom miesza w głowach... Pocztał, że ma dość informacji na dziś. Pomoże temu chłopcu na tyle, na ile może. Ale da mu wolną rękę. W końcu nie może go zakuć w kajdany, ale może mu zostawić otwartą przez cały czas furtę. No dobrze, zacznijmy działać, i zaufajmy Panu...

Zamknął notatnik i ze świstem wypuścił powietrze.

– Dobrze, Oskarze. Zrobmy tak. Ja zorientuję się, co to za gagatek z pana Schwartza, i popytam, co można zrobić w twojej sprawie. A ty przyjdiesz tu, gdy będziesz potrzebował pomocy. I kiedy będziesz chciał. Jeśli nie będziesz chciał i niczego ci nie będzie potrzeba, to po prostu już tu się nie pojawisz. Chyba, że na mszę albo spowiedź i komunię. Możemy się tak umówić? – uśmiechnął się.

– Tak – usta Oskara drgnęły w potwierdzającym grymasie. – Bardzo ojcu dziękuję. Za poczęstunek i za wszystko – wstał. – To ja pójdę już. *Grüß Gott*.

– *Grüß Gott*, Oskarchen – odpowiedział poważnie duchowny. I nakreślił nad jego głową znak krzyża.

Sześćdziesiąt trzy Reichsmarki i czterdzieści trzy fenigi. Tyle pieniędzy udało się naprędce zebrać burdelmamie Heidi, co skrupulatnie przeliczył Oskar podczas wizyty w toalecie na plebanii. O cenach miał jako takie, choć dość mgliste pojęcie, acz zdawał sobie sprawę, że posiadana przez niego obecnie suma była niemała. Wiedział na przykład, że znaczki pocztowe występują w

przeróżnych nominałach, począwszy od trzech fenigów, a najwyższy, który widział wynosił 42 fenigi, ale który chłopiec w jego wieku nie znał się na znaczkach? Wiedział, że ceny pieczywa kształtują się w przedziałach kilku fenigów za bułkę, do kilkudziesięciu za chleb, a ceny książek zaczynają się od jednej marki w wydaniu kieszonkowym... no właśnie, książki!

Poweselał. Na tyle, na ile można było poweseleć w jego stanie ducha. Ma własne pieniądze, które co prawda solennie sobie przyrzekł wydawać jak najoszczędniej, ale tej rzeczy nie zamierzał odpuścić: kupić przynajmniej jedną z brakujących mu do kolekcji książek Karola Maya! No, dwie. Dwie, trzy. Absolutnie maksymalnie cztery. Z tego, co pamiętał, można przecież kupić książki w antykwarni, gdzie są jeszcze tańsze. Cztery (teraz już trzy z niewielkim kawałkiem) godziny do zagospodarowania? Żaden problem. Zagospodaruje je pan May. Trzeba tylko znaleźć antykwariusza, a potem jakąś ławkę; na szczęście dzień był przyjemny i słoneczny.

Oskar rozejrzał się po ulicy. Znajdował się na Tischlerstrasse; co prawda było na niej nawet sporo sklepów, ale w zasięgu wzroku nie widniała żadna księgarnia, o antykwariacie nie wspominając. Hm. Trzeba by kogoś zapytać o drogę. Ale kogo? Przechodnie wcale nie musieli być tutejsi; mogli przyjechać do centrum na zakupy z dalszych dzielnic. Tak zresztą robili rodzice przy poważniejszych sprawunkach, gdyż nie wszystko można było dostać w okolicznych sklepikach. Na przykład po podręczniki szkolne trzeba było jechać trzy przystanki tramwajem.

Oskarowi wpadł do głowy bardzo prosty, acz bezczelny plan. „Szatański”, jak go sobie określił w głowie; pamiętał to słówko z jakiejś książki, i bardzo mu

pasowało do jego sytuacji. Trzeba zapytać rewirowego policjanta, oni muszą znać okolicę. Jakby na zamówienie w polu widzenia pojawił się przechadzający się wolnym krokiem funkcjonariusz Ordnungspolizei. Raz kozie śmierć. Mógł Old Surehand tropić koniokradów na prerii, mogę i ja wytropić antykwarnię w Danzig. Co, ja w moim mieście nie wytropię? U Oskara najwyraźniej uaktywnił się polski gen brawury.

Niespiesznym, acz pewnym krokiem podszedł do mundurowego. Uchylił grzecznie kaszkietu.

– *Guten Tag, Herr Offizier*. Przepraszam, ale szukam antykwariatu. Ktoś mi powiedział, że jest kilka na Altstadt, ale chyba zgubiłem drogę... Szukam lektury do szkoły. – skłamał gładko.

Schludny wygląd chłopca i jego aryjski wygląd nie wzbudziły u policjanta najmniejszych podejrzeń. Poza tym połechtало go słówko „Offizier”, gdyż był tylko prostym wachmistrzem.

– *Ah, guten Tag*. Taaak... – policjant zmarszczył czoło. – Tak, niedaleko jest jeden. Dosłownie za rogiem. Pójdiesz prosto do końca ulicy, a potem skręć w lewo. Antykwarnia to drugi, albo trzeci sklep po prawej. Trafisz bez ochyby.

– Bardzo panu dziękuję. *‘Wiederseh’n*.

– *‘Wiederseh’n* – stójkowy zasalutował mu na pożegnanie.

Oskar udał się we wskazanym kierunku, i ukradkiem otarł zimny pot z czoła. Wszak właśnie okłamał policjanta! I to zupełnie bezkarnie! Co jak co, ale Surehandowi by to się na pewno nie udało, pomyślał z dumą. A ja nie potrafiłbym z kolei wytropić na prerii zwiadowców wrogiego plemienia, dodał w myślach gwoli sprawiedliwości.

Sklep naturalnie znajdował się we wskazanym przez wachmistrza miejscu; jego szyld głosił: „Antyki, starocie, książki, starodruki. Schrödinger & Fenn”. Witryna była dosłownie orgią bibelotów i druków; czego tam nie było! Figuryнки i zastawy z miśnieńskiej porcelany, srebrne łyżeczki inkrustowane bursztynem, oprawne w brązową lub czarną skórę tomiszczą o tajemniczych tytułach, drukowanych na grzbietach złotą szwabachą, przyciski do papieru, jakieś elementy ryszunku rycerskiego, a może uprząży, ozdobne sztylety, zegarki, łańcuszki, ryciny... po lewej stronie pysznił się olbrzymi stojący zegar gdański Beckera, którego zdobienia Oskara wprost zachwyciły, zaś większość ekspozycji wyłożona była na pięknej sekreterze w stylu empire. Chłopiec westchnął w podziwie; w końcu przypomniał sobie, że przyszedł tu kupić książki, a w tym celu warto byłoby najpierw wejść do środka.

Po uchyleniu drzwi przy framudze rozśpiewał się mosiężny dzwonek, a pierwszą rzeczą, która zwróciła uwagę Oskara był czarny kot wylegający się na ułożonym bez szczególnej pieczołowitości stosie książek; zwierzę podniosło głowę i świdrowało go zielono-bursztynowymi oczami. Wnętrze pachniało kurzem i starym papierem z nutą stearyny, czyli tak, jak winien wonieć każdy szanujący się na świecie antykwariat. I sam antykwariusz był też podręcznikowy: zasuszony, starszy pan z siwymi, nieco poźółkłymi od tabaki wąsiskami i bokobrodami *à la* austriacki cesarz Franz Joseph, z pince-nez na nosie, w sztuczkowych spodniach, z zegarkiem na łańcuszku w kieszeni kamizelki i pod muszką.

– Dzień... dzień dobry – odezwał się Oskar i odchrząknął, gdyż zadrapało go trochę w gardle. Franz Joseph spojrzął nań sponad cwikieru.

– Dzień dobry – starszy człowiek miał piękny, głęboki głos jak operowy śpiewak barytonowy, albo spiker w radio. – Niech zgadnę... Szukasz pewnie jakiejś książki?

– Tak, właśnie książki. – Oskar był zaskoczony.

– Hm... – antykwariusz zmierzył go nieco uważniej wzrokiem – Wydaje mi się, że odpowiadałoby ci coś Karola Maya...

Oskarowi opadła szczeka. Jasnowidz? Pan Schrödinger wiedział, że odgadł trafnie.

– Widzisz, chłopcze, jestem w pewnym sensie jasnowidzem – uśmiechnął się. Oskar nabrał chęci do ucieczki. – Ale nie musisz się mnie bać, moje jasnowidzenie ogranicza się tylko do tego, czego szukają moi klienci.

„To jakieś czary” pomyślał chłopiec. Co za miejsce!...

– Wobec tego, że ustaliliśmy, czego szukasz, pozwól, że ci wskażę półkę z książkami dla ciebie – wykonał gest ręką w stronę jednego z regałów. – Oglądaj sobie do woli, a jak już na coś się zdecydujesz, daj mi znać, a ja wrócę do katalogowania, jeśli pozwolisz. Jeśli będziesz chciał o coś zapytać, nie krępuj się.

– Dziękuję panu – Oskar był nadal zdetonowany, ale posłusznie udał się we wskazanym kierunku. Na jednej z półek, gdzieś tak na wysokości jego oczu, trafił na serię książek jednego ze swoich ulubionych autorów. Nie wiedział tylko o tym, że pan Schrödinger w ramach eksperymentu postanowił książki dla młodzieży umieszczać właśnie na wysokości około metr dwadzieścia, w wyniku czego sprzedaż tych artykułów skoczyła mu w skali miesiąca o prawie trzydzieści procent. Ten człowiek byłby skarbem dla domów towarowych, ale w latach czterdziestych nikomu takie głupoty nie przychodziły do głowy.

Po około półgodzinnych poszukiwaniach Oskar wybrał trzy pozycje Karola Maya, których jeszcze nie czytał: trylogię „W kraju Mahdiego”. Wziął je pod pachę i podszedł do właściciela sklepu.

– Ile jestem panu winien za te książki?

Antykwariusz spojrzął na wybrane powieści, potem szybko zlustrował Oskara.

– Zasadniczo trzy marki, ale... dam ci zniżkę za serię. Powiedzmy – 2,40?

Chłopiec kiwnął głową. Ta cena wydawała mu się rozsądna. Wyjął z kieszeni pieniądze.

– Zapakować ci je w papier?

Oskar zawahał się. – Hm... no tak, ale... będę chciał zaraz zacząć czytać – pożałował, że nie ma przy sobie jakiejś torby, albo choć małego plecaka.

Pan Schrödinger zastanawiał się chwilę. Po czym wstał i sięgnął pod biurko, spod którego wyjął sfatygowaną, ale solidnie wyglądającą brązową aktówkę.

– Wiesz co? Weź tę teczkę. Nie jest może najnowsza, ale powinna się nadać. Ktoś ją kiedyś, lata temu, tu zostawił i nigdy się nie zgłosił po odbiór. Masz, nic za nią od ciebie nie chcę; niech ci służy. Szkoda, że nie wzięłeś ze sobą choćby małego plecaka.

Tak, antykwariusz zdecydowanie był jasnowidzem. Oskar obrzucił sklep jeszcze raz spojrzeniem. Kot pana Schrödingera zniknął.

– Szukasz Belizariusza, widzę? – uśmiechnął się właściciel. – To kot, chadza własnymi ścieżkami i znika, kiedy mu się podoba, nawet nie wiem kiedy.

Czasem nawet myślę, że potrafi być i nie być równocześnie. No nic, dziękuję ci za zakup i życzę miłej lektury.

– Również panu dziękuję – wybąkał Oskar, oczarowany niezwykłością miejsca. – Za teczkę też. Do widzenia!

– *Grüß Gott* – odpowiedział sklepikarz bawarskim zwyczajem. Zupełnie jakby wiedział, że pomoc boska bardzo się chłopcu przyda w najbliższych dniach.

Ale w końcu był jasnowidzem.

Oskar drgnął; zegar na wieży pobliskiego kościoła właśnie wybijał piątą. Powiódł nieco nieprzytomnym wzrokiem dookoła, duchem przebywał nadal w Arabii, wyczarowanej piórem mistrzowskiego twórcy. Twórcy, który – jak słyszał – nie wyściubił nawet nosa poza Niemcy, o Europie nie wspomniawszy, przed ukończeniem swojego słynnego cyklu indiańskiego. Z westchnieniem zamknął książkę, zaznaczywszy ostatnio przeczytaną stronę zagięciem rogu kartki. Żałował, że nie ma przy sobie zakładki.

Cóż, czas się zbierać do pana Christiansena. Czas wziąć byka za rogi. Nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, czy i dlaczego Norweg miałby mu pomóc w zakresie sięgającym nieledwie usynowienia, ale coś w głowie mówiło mu, że zegarmistrz jest osobą samotną, przeto spragnioną towarzystwa. Jakby... brakowało mu kogoś, z kim mógłby podzielić się wiedzą. Ucznia. Istniał tylko jeden sposób, by przekonać się o tym, czy to prawda: spotkać się ze starszym panem.

Dobrze, chodźmy więc, dodał sobie w myślach odwagi.

Dom stał przy spokojnej, mało uczęszczanej uliczce, flankowanej z obu stron topolami, w kwartale, w którym dominowała zabudowa willowa. Popołudnie było spokojne i ciepłe; w powietrzu wibrowały ptasie trele. Nikt w najdzikszych nawet wyobrażeniach nie powiedziałby, że to miejsce, to miasto, leży niedaleko epicentrum najkrwawszej wojny w historii ludzkości. I że ten cichy, tak urokliwy zakątek zostanie dosłownie wprasowany przez sowieckie wojska w ziemię, zanim upłynie rok.

Oskar pchnął furtkę i skierował się do ogrodu, pomny wskazówek Svena. Na tyłach domu rzeczywiście były dodatkowe drzwi, na których widniał numer 2. Odruchowo przygładził włosy i zapukał.

Z wnętrza dobiegł go odgłos kroków. Kilkanaście sekund później drzwi się otwały, i stanął w nich Sven Christiansen.

– Oskarze! Jak miło, że przyszedłeś! – zegarmistrz powitał go uśmiechem.
– Proszę, wejść, zapraszam. Tędy... poprowadzę.

Chłopiec podążył za gospodarzem. Za drzwiami był wąski korytarzyk skracający w prawo, trochę zagracony, który prowadził do niewielkiego salonu. Umeblowanie było skromne, ale schludne; w centralnym punkcie królowała gdańska szafa, prawdziwe arcydzieło rzemiosła, która była prawdopodobnie warta więcej niż wszystkie pozostałe sprzęty razem wzięte. Przy ścianach umieszczono regały z książkami w zgoła nieprzyzwoitych ilościach, a jedyny skrawek wolnej przestrzeni zajmowała kanapa. Na środku stał niewielkich rozmiarów stół jadalny, najwyżej na trzy, cztery osoby z czterema krzesłami. I dwa biurka: jedno, wypolerowane na wysoki połysk, najwyraźniej do czytania, z piękną lampą projektu Tiffany'ego i wygodnym fotelem wyściełonym zielonym

pluszem, i drugie, z surowego drewna, które musiało służyć za swoisty miniwarsztat, przy którym stał prosty, metalowy taboret ze śrubową regulacją wysokości. Do blatu przykręcono imadłowym uchwytem lakierowaną na czarno funkcjonalistyczną lampę na pantografie. Z pokoju wychodziło dwoje drzwi; jedne pewnie do sypialni, a drugie do kuchni i łazienki z toaletą, albo na odwrót. Całość wystroju dopełniał niemały rododendron w drewnianej donicy, stojący zegar i okno wychodzące na ogród. W powietrzu woniało trochę naftaliną, trochę jaśminowym mydłem, ale przede wszystkim zapowiedzianym, świeżo upieczonym Apfelstrudlem.

– Jesteś trochę wcześniej, niż się umawialiśmy... chyba. Niech no spojrzę na zegar – gospodarz wyjął z kieszeni marynarki etui na okulary. Oskar zrozumiał, że Sven ma jeszcze słabszy wzrok, niż mu się wydawało. – Piąta siedemnaście... ale placek już gotowy, tylko pewnie jeszcze nie ostygł. Napijesz się w międzyczasie herbaty?... – w tym momencie nawiązał po raz pierwszy poważniejszy kontakt wzrokowy ze swoim gościem. Chłopiec co prawda nie wyglądał tak nieszczęśliwie, jak świeżo po przebudzeniu u Madame Blumke, ale przeżycia ostatniej doby odcisnęły na młodej twarzy wyraźne piętno.

– Oskarze, przepraszam... coś się może stało? Usiądź, proszę. Chyba kiepski ze mnie gospodarz...

Oskar usiadł na wskazanym krześle. Usta mu zadrżały; pociągnął nosem i opanował się.

– Tak, stało się – powiedział cicho po chwili milczenia, mocno splatając dłonie między kolanami. – Wczoraj, gdy wracałem do domu... jak przyjechałem na miejsce, kamienica, w której mieszka... mieszkałem, właśnie się dopalała. –

Wtulił głowę w ramiona. – I dowiedziałem się, że... moi rodzice nie przeżyli pożaru – w miarę jak mówił, z oczu kapały mu powoli ciężkie jak grochy, czyste łzy, jednym nieprzerwanym strumieniem.

Zegarmistrz stał jak zmartwiały.

– I... – chłopiec się zachłysnął, odkaslnął. – I wzięli mnie na posterunek policji, zadawali jakieś pytania... Nie pamiętam, jakie. – otarł oczy rękawem wiatrówki; jego narracja stała się trochę chaotyczna. – A potem zabrali mnie do takiego hotelu i tam zaopiekowała się mną taka miła pani Heidi. A potem poszedłem do kościoła, a potem kupiłem sobie książki i je czytałem, a potem przyszedłem tutaj... – mówił coraz bardziej niewyraźnie, łzy mieszały mu się ze śliną i smarkami – Mogę prosić o jakąś chusteczkę?...

Sven odjął dłoń od wpółotwartych ust, zakrzętnął się. – Tak, już coś ci znajdę... proszę. – wpatrywał się w Oskara ze smutkiem pomieszanym z współczuciem.

– Dziękuję – Oskar wydmuchał nos, otarł oczy. – I przyszedłem do pana, bo mnie pan zaprosił na Apfelstrudel – uśmiechnął się jakimś przerażającym, szerokim półuśmiechem, któremu towarzyszył bezgłośny krzyk wszyty w spojrzenie.

Gospodarz, wciąż wpatrując się w chłopca z wyrazem czystej grozy na twarzy, sięgnął na ślepo za siebie w poszukiwaniu papierosów; zrzucił przy tym z biurka jakąś książkę. Znalazł paczkę, przypalił papierosa, zaciągnął się głęboko.

– Panie Boże Wszechmogący... – wyszeptał. – Oskarze... Czy mógłbym ci jakoś pomóc? – zapytał.

Chłopiec podniósł na niego oczy pełne szaleństwa i nadziei.

– Tak. Mocno wierzę, że tak, Herr Christiansen.

Do gmachu gdańskiego sądu wmaszerował postawny, około pięćdziesięcioletni mężczyzna w nierzucającym się w oczy, schludnym ubiorze w stonowanych kolorach. Skierował się od razu w stronę schodów i udał się na pierwsze piętro. Skręcił w prawo i poszedł w kierunku pokoju 108, na którym widniała tabliczka z napisem „Richter Otto Beckenbauer”. Bez pukania nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Anette, sekretarka, od razu rozpoznała gościa. Wstała.

– Ojciec Steffen... *Grüß Gott*. Zapraszam, szef jest w gabinecie.

– *Grüß Gott. Danke, Fräulein*. Tak zakładatem. – gość uprzejmie kiwnął głową.

Sędzia Otto podniósł wzrok znad akt, widząc, że ktoś otwiera drzwi nie zapukawszy. Zmarszczył brwi. Tylko kilka osób mogło wchodzić do jego gabinetu bez zapowiedzi; miał nadzieję, że to właśnie jedna z nich, gdyż dzień miał parszywy. Na tapecie miał sprawę seryjnego gwałciciela małych dziewczynek i żałował, że nie może skazać go na śmierć więcej niż jeden raz.

Wchodzącym okazał się jego rodzony brat. Przypadkiem ksiądz. Westchnął.

– Steffen... Doprawdy masz talent do pojawiania się w najbardziej niesprzyjających momentach...

– Też się cieszę, że cię widzę, Otto.

Mimo tego pozornie chłodnego powitania, sędzia Beckenbauer wstał z za biurka, podszedł do duchownego i serdecznie go uściskał.

– Rzadko do mnie zaglądasz, Steffen. Zbyt rzadko – powiedział z nie tak do końca udawanym wyrzutem. – Jak znam życie, oczywiście masz do mnie interes. Jakaś owieczka zesłała na złą drogę?...

– Każdy dba o swoje owieczki jak może, naprowadzając je na właściwą drogę wedle powołania – sentencjonalnie i trochę górnołotnie odparował jego brat. – Pozwolisz, że usiądę?...

Usiadł bez pozwolenia, najwyraźniej traktując swoje pytanie jako retoryczne.

Otto z powrotem zajął swoje miejsce w fotelu i wykonał gest dłonią. – Gdybyś chciał się czegoś napić, to wiesz, gdzie jest barek.

Brat pokręcił głową z udawaną dezaprobatą. Wstał. – Ja sobie wezmę Goldwassera. Tobie też nalać?

– A tam, daj. W zasadzie jestem po godzinach.

Książd nalał do kieliszków dwie wcale niemałe porcje wódki.

– Tak więc, Steffen?... – poddał sędzia.

Steffen przez chwilę obracał kieliszek w palcach, obserwując płatki złota wirujące w płynie. Podniósł wzrok.

– Tak więc... – zaczął niespiesznie. – Sprawa jest złożona i delikatna. Wczoraj w pożarze niedaleko Stolzenbergu zginęło małżeństwo, Christine i Werner Grass. Osierocili dziesięcioletniego chłopca, Oskara. Chłopiec przyszedł do naszego kościoła się pomodlić, porozmawialiśmy sobie. Z tego, co zeznał na policji, wynika, że najbliższą jego rodziną jest wujostwo niejakich Schwartzów...

– Który komisariat prowadzi dochodzenie?... – Otto założył okulary i sięgnął po gruby skoroszyt leżący na biurku. Brat powstrzymał go gestem.

– Tego jeszcze nie wiem, czekaj. Rzecz w tym, że mały boi się tego wuja, i prędzej będzie chciał pójść do piekła niż z nim zamieszkać. Ten człowiek to najprawdopodobniej alkoholik, który znęca się nad rodziną...

– ... a ja mam ci sprawdzić, czy ma coś za uszami, żeby wydano orzeczenie o ustanowienie opiekuna zastępczego? – domyślił się jego rozmówca.

– Jak zwykle, po prostu bułka z masłem... – sapnął.

– Widzisz, bracie, Sędzia Najwyższy rozstrzyga w sprawach wielkich. A do mniejszych potrzebuje ziemskich namiestników... – uśmiechnął się ojciec Steffen.

– Ty mnie pod włos nie bierz! – parsknął Otto. – Jakby tak było, to każdy sędzia miałby brata księdza za podręczny głos sumienia... – tynął okiem. – Dobrze, podaj mi tyle szczegółów, ile możesz. Zobaczmy, co da się zrobić – wyciągnął notatnik i wieczne pióro z kieszeni marynarki. – Referuj. Tylko powoli.

Ksiądz zaczął mówić.

Prawnik pilnie notował.

Na biurku porucznika Schöllera zadzwonił telefon.

– Porucznik Ernst Schöller, Schutzpolizei, słucham. – rzucił w słuchawkę.

– Dzień dobry, panie poruczniku. Z tej strony sędzia Otto Beckenbauer, z Amtsgericht Danzig. Mogę panu zająć chwilkę?

– Dzień dobry, panie sędzio. Naturalnie, proszę mówić.

– Mam do pana pewną prośbę i kilka związanych z nią pytań. Jeśli pan pozwoli, wyłuszczę sprawę przez telefon, a jeśli zajdzie taka konieczność, umówilibyśmy się na osobiste spotkanie, o ile to nie kłopot.

– Słucham pana. – Ernst otworzył podręczny notatnik, z kieszeni wyjął ołówki.

– Otóż pamięta pan, jak przypuszczam, sprawę niedawnego pożaru w kamienicy na Stolzenbergu? I osieroczonego chłopca, Oskara Grassa? Z posiadanych przeze mnie wiadomości wynika, że to właśnie pański komisariat prowadził dochodzenie...

– Tak, panie sędzio. Moi ludzie prowadzili sprawę i przesłuchiwali świadków oraz poszkodowanych. Ja sporządzałem z tego raport, ale potem śledztwo przekazano wyżej, do żandarmerii. Są podejrzenia, że mogło dojść do podpalenia, który był aktem sabotażu ze strony osób działających na zlecenie bolszewików... Zresztą odmówiono mi podania bliższych szczegółów, w sposób nie pozostawiający wątpliwości, że ta sprawa nie leży już w mojej gestii. Toteż jeśli miałbym coś dla pana zrobić, to moje możliwości manewru są niestety w tej chwili mocno ograniczone...

– Rozumiem. Natomiast ewentualna pomoc w mojej sprawie nie będzie prawie na pewno w żaden sposób kłócić się z kompetencjami żandarmerii. Chodzi przede wszystkim o chłopca...

– Oskara?

– Oskara. Czy w pańskim komisariacie ktoś zajmuje się na bieżąco jego sprawami? Z tego, co mi wiadomo, miał wylądować pod opieką swojego wuja, Egona Schwartz, na Lindenstrasse...

Sędzia postanowił wziąć policjanta nieco pod włos. Oczywiście policja nie miała obowiązku „zajmowania się na bieżąco takimi sprawami”, ale powinna była zgłosić cały ambaras do sądu cywilnego, by można było wszcząć procedurę

ustanowienia opiekuna zastępczego. Czego – jak wykazała kwerenda zlecona przez sędziego – nie zrobiła. Otto chciał wiedzieć dlaczego, ale bardziej interesował go fakt, że miał teraz na policjanta haka, i mógł go bezproblemowo wykorzystać do swoich potrzeb. Jako prawnik i były adwokat lubił mieć taką przewagę.

Ernst zaklął w duchu. *Scheiße*, to już trzeci dzień, kiedy smarkacz buja się po mieście, i to nie wiadomo gdzie i w jakim towarzystwie. Wiewióreczka wyśpiewała mu, że na jej nos ostatnim miejscem, w które młody człowiek zechce się udać, będzie mieszkanie wujostwa, ale nie miał głowy ani wnikać dlaczego tak jest, ani czasu, by zgłosić sprawę w sądzie. Przepisy stanowiły, że taką kwestię należy przekazać do rozpatrzenia „bezwłocznie”, co dawało pewne pole manewru, ale była to broń obosieczna. Z jednej strony zobowiązany do zgłoszenia, w tym wypadku on, miał pewien – choć co prawda niewielki – margines czasowy, zaś z drugiej organ, w którym zgłoszenie miało nastąpić, mógł się czepić, że sprawa jest zbyt przyciężana. Co nie stawiało go w komfortowej pozycji.

Powyższe przemyślenia przeleciały przez głowy obydwu rozmówców w czasie krótszym niż sekunda, i obydwu oddziały okopały się na swoich stanowiskach. Prawo oddania salwy przysługiwało teraz porucznikowi. I wiedział, że jego amunicja nie jest najgrubszego kalibru. Postanowił wysłać w teren małą szpicę rozpoznawczą.

– Otóż, panie sędzio... Sprawa się ma następująco – odchrząknął. – Poszkodowany małego Grass spędził noc w... w bezpiecznym miejscu; wykorzystałem swoje nieformalne kontakty, gdyż uważałem, że w jego stanie

psychicznym pozostawienie go na komisariacie, który, mówiąc oględnie, nie jest najbardziej uroczym miejscem w mieście, mogłoby tylko pogłębić jego depresję...

– Bardzo rozsądnie – łaskawie pochwalił pan Beckenbauer.

– Na następny dzień, czyli wczoraj... miał według naszego rozeznania udać się do domu państwa Schwartzów, i według naszej najlepszej wiedzy, nie pojawił się tam. Obecnie staramy się ustalić, gdzie przebywa...

No to cię mam, pomyślał Otto. Gównu się staracie. Wystarczy mi strzelić palcami, i weźmie cię za dupę sąd i twoi bezpośredni przełożeni, żeby ich z kolei nie wzięła za dupę wyższa szarża. Za niedopełnienie obowiązków co prawda nikt cię nie rozstrzela, ale przez najbliższe tygodnie nie będziesz miał lekkiego życia. A może i miesiące. W końcu mamy wojnę i różnego rodzaju prawa człowieka zeszyły na dalszy plan. Nie żeby kiedykolwiek były one priorytetem w nazistowskich Niemczech.

– Panie poruczniku. Ustalmy w takim razie kilka kwestii. Jest pan człowiekiem niewątpliwie inteligentnym, wobec czego oszczędzę sobie malowniczych opisów, jakie kłopoty mogą pana ewentualnie czekać, jeśli pańskie działania zostaną uznane za niedopełnienie obowiązków. W zamian poproszę pana o parę rzeczy. I zakładam, że jest pan gotowy do spisania szczegółów mojej prośby.

Ernst zgrzytnął bezgłośnie zębami. Ale trudno, wypuściłem zwiad, a stary lis mógł wytoczyć przeciwko niemu ciężką artylerię. A w zamian proponuje honorowe poddanie się. No to co mam, kurwa, zrobić? Honorowo poddać się, rzecz jasna.

– Słucham pana, panie sędzio – westchnął prawie bezgłośnie. Wyczulony słuch sędziego wyłapał jednak to westchnienie, które mu się spodobało.

– Zalecam po pierwsze przeprowadzenie na tyle dokładnego, na ile się da wywiadu środowiskowego u państwa Schwartz; chyba, że ktoś już założył Herr Egonowi kartotekę...

Sędzia zawiesił głos. Policjant wyczuł, że jego rozmówca nie miałby nic przeciwko temu, by kartoteka ta była jak najgrubsza; ci dwaj rozumieli się w lot, jak stare dobre małżeństwo. I to raptem po dziesięciominutowej znajomości przez telefon.

– Sprawdzę i zobaczę, co się da zrobić – powiedział ostrożnie.

– *Gut.* Jeśli występują zaś bodaj najmniejsze podejrzenia, że pan Schwartz nie prowadzi się, że tak powiem, nienagannie...

A jest w tym mieście choćby jeden taki człowiek? – Zdziwił się Ernst w myślach.

– ...to radziłbym podesłać kogoś do jego mieszkania, żeby się odpowiednio rozeznał w sytuacji. Rozumiemy się, panie poruczniku?

– Najzupełniej. – Schöller odetchnął nieco swobodniej. Przynajmniej wszystko jasne. Pan sędzia, z nieznanых mi przyczyn, życzy sobie, żeby mały Grass nie wylądował u Schwartzów, a ja mam dać mu do ręki argumenty. *Alles klar.* – Postaram się jeszcze dziś oddzwonić. Do której pan urzęduje?

– Będę zobowiązany. Zasadniczo do szesnastej, ale rzadko wychodzę przed siedemnastą. W takim razie do usłyszenia; liczę na pana.

Po drugiej stronie odłożono słuchawkę. Porucznik zdał sobie w tym momencie sprawę, że zapomniał zapytać sędziego o numer telefonu. Ale gdyby

nie potrafił go zdobyć w ciągu pięciu minut, to byłby z niego dupa, nie policjant. Westchnął, wstał zza biurka i udał się do archiwum.

Sven tak przejął się losem Oskara, że nawet przez myśl mu nie przeszło odmówienie chłopcu pomocy. Mieszkał sam, wynajmując dwupokojowe mieszkanie, w którym bez problemu znalazło się dodatkowe miejsca do spania. Finansowo wiodło mu się nie najgorzej, gdyż poza bardziej niż przyzwoitą emeryturą dorabiał sobie zleceniami wykonywanymi dla pewnego zakładu zegarmistrzowskiego prowadzonego przez dobrego kolegę z branży, Martina Spatza. Zakład słynął z tego, że brał do naprawy „przypadki beznadziejne”: mechanizmy wymagające prawie kompletnej rekonstrukcji, czy nietypowe modele, do których niezwykle trudno było zdobyć części, albo zlecenia oznaczające ponad tygodniowe ślęczenie nad pracą. Innymi słowy wykonywano tam rzeczy, którymi z różnych powodów wzgardziłyby praktycznie każdy inny zegarmistrz z braku czasu, cierpliwości, materiałów, czy wreszcie po prostu przez niską opłacalność. A zakład „Spatz & Söhne” takie zlecenia właśnie przyjmował, wykonywał je głównie rękami Svena, który był fachurą, co się zowie i oddawał zadowolonym klientom, gdzie indziej odprawianych z kwitkiem, a następnie liczył sobie za te usługi stawki monopolisty, który zagospodarował całkiem lukratywną niszę. Klienci płacili, czasem płakali i płacili, ale nigdy nie narzekali; dzięki temu do zegarmistrza przyjeżdżano z Zoppot, a nawet z Gotenhafen.

Sven pościelił Oskarowi leżankę w sąsiednim pokoju; sam przewracał się z boku na bok gdzieś do trzeciej nad ranem, gdyż nie mógł zasnąć od natłoku

myśli, chłopiec zaś z kolei usnął szybko. Rano zjedli śniadanie, po czym Sven powiadomił swojego podopiecznego, że musi pójść do zakładu odnieść jedno zamówienie i sprawdzić, czy nie ma jakiegoś nowego, i że powinien wrócić maksymalnie do dwóch godzin. W rzeczywistości zajęłoby mu to około czterdziestu minut, ale miał w planie zahaczyć o pchli targ, gdzie spodziewał się kupić Oskarowi kilka sztuk używanej odzieży i nowej, niedrogiej bielizny. Miary nie potrzebował brać, gdyż jego ojciec był krawcem, wobec czego wiedział, że mały ma około 150 centymetrów wzrostu i typ sylwetki, którą dziś określono by jako „slim”. Oskar obiecał, że nikomu nie będzie otwierał ani nigdzie się nie ruszał; trochę go zresztą niepokoiła nierozwiązana sprawa z policją. Pozostało mu jeszcze całkiem sporo do czytania z trylogii Maya, a i w biblioteczkę zegarmistrza znalazłoby się kilka interesujących pozycji.

W drodze powrotnej z pchlego targu Sven zahaczył o kościół św. Katarzyny, gdzie miał akurat szczęście złapać ojca Steffena i odbyć z nim niedługą, acz treściwą rozmowę. Duchownemu spodobała się szczerść Norwega i jego chęć do opieki nad chłopcem; uwierzył w nią praktycznie bez zastrzeżeń. Nie od dziś był kapłanem i potrafił rozpoznać nieczyste intencje. W końcu dobry ksiądz musiał być po trosze psychologiem; kraty konfesjonału nie przeszkadzały przejrzeć duszpasterzowi tych bardziej nieczystych sumień. A w oczach parafian wikariusz był duszpasterzem bardzo dobrym, choć on bynajmniej za takiego się nie uważał. Pokłosiem rzeczonyj rozmowy była wizyta księdza u brata – sędziego. I sprawa Oskara nabrała sporego przyspieszenia.

Ernst Schöller odczuwał po wizycie w archiwum stan, który można by określić jako „ostrożne zadowolenie”. Obywatel Schwartz miał faktycznie w

aktach swoją teczkę osobową, niegrubą wprawdzie, ale wystarczającą by mu „uszyć buty”, a przynajmniej solidne sandały. Był notowany za awanturnictwo; po pijanemu wybił kiedyś sąsiadowi z parteru szybę kamieniem – czyn liczący być może z zachowaniem ulicznika, ale z pewnością nie przystojący mężczyźnie w sile wieku i głowie rodziny. Czterokrotny udział w burdach; jedno zdarzenie zakończyło się pobytem na izbie wytrzeźwień i grzywną. Notatka z wywiadu środowiskowego określała go jako człowieka porywczego, ze skłonnościami do alkoholu; czasami sąsiedzi słyszeli z mieszkania odgłosy awantur, które kończyły się dość szybko i nikt nie widział potrzeby zawiadomienia policji. Porucznik wiedział jednak z doświadczenia, że tacy domowi terroryści umieją skutecznie uciszać awantury – najczęściej poprzez uderzenie żony lub dziecka, które, zastraszone, milkły, zaszywały się w sąsiednim pokoju, a postronni gotowi byli zeznawać, że stało czasem się i owszem kłóci, ale wszystko kończy się najwyraźniej polubownie. I na tym zasadzała się niestety ich bezkarność. Cóż, Herr Egon, wypada przyjrzeć się panu bliżej, postanowił.

Policjant nie mógł tak po prostu „najechać” mieszkania Schwartzów; potrzebował pretekstu. Najlepiej nakazu prokuratorskiego lub podobnie mocnych papierów, których nie miał rzecz jasna szans uzyskać, zwłaszcza na cito. Zaś do sędziego nawet nie miał się co zwracać; całość przedsięwzięcia była półoficjalna, ale to prawnik trzymał go za jaja, gdyż mógł mu narobić kłopotów, oficjalnie powołując się na obowiązek dopilnowania praworządności. Ernst przeklął się w duchu po raz kolejny dzisiejszego dnia. Na szczęście z drugiej strony stan wojny, w którym znajdowała się Rzesza, znacznie poszerzał kompetencje służb porządkowych, w tym wszystkich formacji policyjnych. Miały

one prawo do podejmowania „adekwatnych działań” w razie „podejrzenia zagrożenia porządku publicznego bądź bezpieczeństwa Rzeszy i/lub jej obywateli”, co zakładało dalece idącą uznaniowość. I teraz wystarczyło wymyślić odpowiednio wyglądające „podejrzenie zagrożenia bezpieczeństwa” i można było szykować się do wizyty. Choć tak naprawdę każde podejrzenie wyglądało odpowiednio. Schöller postanowił, że nie ma się co doktoryzować. Trzeba tylko znaleźć asystenta, który będzie świadkiem, a w razie czego wsparciem bojowym. Będziemy improwizować.

Lindenstrasse znajdowała się o dziesięć minut niespiesznym marszem od komisariatu. Ernst zabrał ze sobą sierżanta Erika Grubera, postawnego mężczyznę lat czterdzieści pięć, który po odniesieniu ran w polskiej kampanii wrześniowej został uznany za niezdolnego do służby liniowej. A ponieważ przyznana mu renta nie należała do szczególnie wysokich, feldfebel intensywnie szukał sobie zajęcia, zwłaszcza, że musiał opiekować się schorowaną matką. Kuzyn zarekomendował go do komendantury policji w Gdańsku, szepnięto jedno czy dwa słówka w odpowiednie ucho, i Gruber bez większych ceregieli znalazł posadę odpowiadającą jego aspiracjom. Nie był człowiekiem zbyt byстрыm, i nigdy nie zrobiłby kariery jako dochodzeniowiec, ale przy pracach grubszych i wymagających zdecydowanych interwencji spisywał się znakomicie. Na pewno nadawał się do aktualnego zadania; gdy usłyszał jeszcze, że będą mieli do czynienia z człowiekiem znęcającym się najprawdopodobniej nad żoną i małąletnią dziewczynką, poczerwieniał nieco na pucołowatej twarzy, nastroszył wąsiska, energicznym ruchem poprawił służbową pałkę, sprawdził kaburę i

oznajmił, że jest gotów do wyjścia w każdej chwili, choćby teraz. Jego przełożony niczego więcej odeń zresztą nie wymagał.

Policjanci weszli na drugie piętro kamienicy, która zdecydowanie tęskniła za remontem. Cuchnęło kocimi szczynami, ze ścian klatki schodowej odchodziły płaty tynku i lamperii, schody niemilosiernie skrzybiały, a poręcz trzymała się chyba tylko dzięki sile przyzwyczajenia. Stanęli przed drzwiami mieszkania numer cztery; Erik już szykował się do delikatnego, acz sugestywnego stuknięcia w nie policyjną pięścią, Schöller nabrał powietrza w płuca, myśląc gorączkowo, pod jakim pretekstem Schupo zapragnęło tym razem zaniepokoić zacnych gdańskich obywateli, gdy w sukurs im obu przyszedł przypadek. Otóż wewnątrz mieszkania coś głucho huknęło, rozległ się stłumiony kobiecy pisk, przerwany klaśnięciem i dalszymi hurgotami, którym towarzyszyły jakieś gniewne męskie słowa, które z pewnością dalekie były od komplementów. Porucznik skinął głową na podwładnego, któremu nie trzeba było powtarzać niemego polecenia.

Lipowe drzwi, pamiętające chyba młodość Cesarstwa Niemieckiego, po mocarnym i fachowym zaprawieniu barkiem przez przepełnionego żądzą zaprowadzenia sprawiedliwości funkcjonariusza Grubera nie stawiały większego oporu. Jęknęły, żałośnie trzasnęły i rozpadły się na dwie nierówne części, wlokąc za sobą po podłodze ścięgnię mosiężnych zawiasów i wzbijając całkiem pokaźny tuman kurzu z dawno nieczyszczonej podłogi. Przez tuman Ernst dostrzegł kompletnie zaskoczonego obywatela Schwartz, który trzymał za włosy klęczącą u jego kolan kobietę; obok stała może siedmioletnia dziewczynka ze szmacianą lalką w dłoni, również zaskoczona, ale i przerażona nagłym zdarzeniem,

wpatrująca się rozszerzonymi oczami i otwartą buzią w niespodziewanych intruzów.

Feldfelbel zareagował błyskawicznie i – co należy zapisać na jego plus – adekwatnie i z wyczuciem. Wyjął pałkę i położył dłoń na kaburze pistoletu.

– Schutzpolizei, nie ruszać się! Obywatelu Egonie Schwartz, jesteście... – zająknął się – zatrzymani! – huknął basem. Przełożony pokręcił głową w podziwie; słyszane to rzeczy, żeby sierżant w ułamku sekundy zastanowił się, czy mała dziewczynka odróżni słowo „zatrzymanie” od „aresztowania”? Odnotował sobie w myśli, że w zasadzie można by wystąpić oficjalnie o pochwałę dla podwładnego.

– ... Za zakłócanie miru domowego, znęcanie się za rodziną i przemoc fizyczną! Z artykułu... – tynął okiem na Schöllera.

– Piątego, paragraf czwarty Kodeksu Postępowania w Przestępstwach Kryminalnych w Warunkach Wojennych. – wyrecytował porucznik bez mrugnięcia okiem. Mgliście kojarzyło mu się, że ten paragraf traktował bodaj o osłabianiu siły bojowej, między innymi przez umyślne zarażanie żołnierzy chorobami wenerycznymi. Ale chuj z tym, on i tak tego nie zapamięta. A poza tym owszem, to, co ten szmaciarz robi, to rzeczywiście jest kurewstwo.

– Co – co – cooo?... – Schwartzowi, mimo faktu, że znajdował się w sytuacji zasadniczo beznadziejnej, nie wywietrzała jeszcze z durnego łba adrenalina podrasowana gdańskim sznapssem. Puścił włosy żony, która ciężko klapnęła na podłogę, w ostatniej chwili podpierając się dłońmi, i postąpił krok w ich kierunku. Sierżant odpiął kaburę i wyjął pistolet. Usta dziewczynki wygięły się w podkówkę.

Domowy terrorysta spuścił z tonu.

– Odwrócić się – syknął Gruber. – Spłeść dłonie za plecami! – odpiął kajdanki. – Nie stawiać oporu!

– Nie wiecie, kim ja jestem!!! – ciskał się niedawny pan i władca mieszkania numer cztery. – Ja was, gnoje, zniszczę!...

– To zostanie zaprotokołowane. – wtrącił pogodnie Ernst.

– Skurwysyny zajebane!

– To też. Idziemy, Schwartz. Bardzo panią przepraszamy za bałagan i nerwy. – Ernst zwrócił się do kobiety, na której twarzy malowały się uczucia grozy i dziękczynienia połączonego z ulgą. – Podesłemy tu jak najszybciej kogoś z komisariatu, maksymalnie do godziny. Spiszemy straty, postaramy się je jakoś naprawić i... proszę być do dyspozycji. Będzie panią czekać trochę formalności. I proszę postarać się to wytłumaczyć córeczce. – Dziewczynka schowała buzię w maminą spódnicę, troskliwie obejmowana dłonią przez matkę. Kobieta skinęła głową; uśmiechnęła się do policjantów przez łzy.

Kolejny mały śmieć zmieciony z pawimentu miasta, pomyślał porucznik. Ile ich jeszcze? Tyle samo co prawdziwych śmieci – niedopałków papierosów, ogryzków, psich kup, stłuczonych butelek, strzępków gazet i papierów, pozostałości rzygowin, czy skórek po owocach, które codziennie skrupulatnie zgarniają swoimi miotłami pracownicy komunalnego zakładu oczyszczania, i który to proces trzeba powtarzać codziennie.

I który to proces nigdy się nie kończy – ani dla śmieciarzy, ani dla policjantów.